WTOREK

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW NAL

ŚWIAT MŁODYCH

NR 86 19 LIPCA 1977 R CENA 1.50 ZŁ

Kogo się boi „czerwony kur?" – str 4

ZAWSZE NIECH BĘDZIE SŁOŃCE, to hasło I Międzynarodowego Festiwalu Dziecięcego, który w dniu wczorajszym rozpoczął się w Moskwie, stolicy Związku Radzieckiego. Uczestnicy tego największego w historii spotkania nastolatków świata, przedstawiciele wszystkich niemal krajów naszej planety zebrali się, aby wymienić swoje doświadczenia, podzielić się pomysłami dotyczącymi życia w szkole, organizacji, domu rodzinnym, wspólnie zamanifestować swoje poparcie i solidarność dla tych narodów, które walczą o pokój, wyzwolenie społeczne i narodowe. Jest Festiwal okazją do zabawy, do wzajemnego poznania kultury swych narodów, jego tańców, piosenek...

Dzisiaj wszyscy uczestnicy Festiwalu udali się do położonego na krymskim wybrzeżu obozu radzieckich pionierów – Arteku, gdzie spędzą razem wiele następnych dni. *„Wydaje mi się* – są to słowa Mariny Zieleńskiej z miasta Ussurijsk, która przebywała w Arteku kilka lat temu – *że jeśliby na świecie nie istniał taniec, to życie byłoby o wiele smutniejsze. Tak jak i bez książek, bez słońca, bez kwiatów. W Arteku żaden dzień nie obywa się bez tańca i od tego jest człowiekowi wesoło na duszy!"* Niech będzie jak najweselej! (ek)

Fot. archiwum

NIE TYLKO WYPOCZYNEK

ZABORÓWIEC (HSI). Harcerze przebywający na Zgrupowaniu Obozów ZHP Legnica w Zaborówcu-Papierni koło Właszakowic w ciągu kilku dni opanowali całe miasto, pracując na rzecz środowiska. W centrum Właszakowic urządzili skwery, uporządkowali teren wokół tartaku, a także zasadzili 5 ha lasu. Ich młodsi koledzy – zuchy – w ramach sprawności „Niewidzialna ręka" pomagali gospodarzom z pobliskich miejscowości w zbiórce siana, w porządkowaniu obejść wokół domów. Druhny i druhowie zdobywają też na kursach szkoleniowych wiadomości z zakresu pracy z zastępami, bo już w nowym roku harcerskim, wraz z przybocznymi, będą prowadzić zastępy w swoich szkołach. (dz)

NAL – 77 W KIELCACH

KIELCE (HSI). Komenda Chorągwi ZHP w Kielcach zorganizowała w Szkole nr 3 stanicę harcerską. Sale lekcyjne pełnią rolę sypialni, w których mieszkają harcerze z zastępów: „Hajduczki", „Wędrowniczki", „Świętokrzyskie Harcerki", „Świętokrzyscy Juhasi". W tej chwili dobiega końca trzeci turnus. Celem stanicy jest przeszkolenie zastępowych. Podczas tygodniowego pobytu harcerze zwiedzają miasto, zdobywają sprawności, uczą się nowych gier i zabaw. Organizatorzy wprowadzili pewną innowację. Otóż każdy turnus kończy się egzaminem na kartę rowerową. Dzieci zdobywają ją pod okiem funkcjonariusza MO. Drugą stanicę zlokalizowano w Suchedniowie. Jednorazowo podczas każdego z tygodniowych turnusów przebywa tam 50 harcerzy. (gk)

PIONIERZY u bialsko-podlaskich harcerzy

BIAŁA PODLASKA (HSI). Kilka dni temu 30 harcerzy z Komendy Chorągwi ZHP w Białej Podlaskiej wyjechało na obóz pionierski do Brześcia w ZSRR. Bialskopodlascy harcerze natomiast goszczą na swoim obozie w Białce k/Parczewa pionierów z obwodu brzeskiego. Podczas trzytygodniowego pobytu dziewczęta i chłopcy z ZSRR poznają większe miasta i ośrodki w naszym kraju. (dz)

Gdzie woda czysta – las zielony

OLSZTYN (PAP). Naukowcy z Instytutu Hydrobiologii i Ochrony Wód Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie prowadzą doświadczenia nad metodami przywracania życia biologicznego w jeziorach, zatruwanych m. in. środkami chemicznymi, spływającymi z pól do zbiorników wodnych. Pomyślne wyniki przynosi prowadzony na Jeziorze Kortowskim w Olsztynie, eksperyment rekultywacji jeziora metodą usuwania – za pomocą rurociągu – zanieczyszczonych wód dennych, na miejsce których napływają samoczynnie czyściejsze i utlenione wody z górnych warstw jeziora.

Inny eksperyment polega na napowietrzaniu wód jeziora za pomocą sprężarki. System ten zastosowano już z powodzeniem na jeziorze Starodworskim. (jd)

Fot. J. Dąbrowski

UWAGA CZYTELNICY!

Termin nadsyłania prac na konkurs „Pochwalmy się swoim regionem"

PRZEDŁUŻONY!

Na prośbę czytelników, którym wakacyjne wyjazdy przeszkodziły w wykonaniu prac konkursowych, przedłużamy termin ich nadsyłania do dnia 15 września.

Przypominamy, konkurs „Pochwalmy się swoim regionem" organizowany jest dla wszystkich, którzy umieją haftować, wyszywać, tkać, rzeźbić, wyplatać, lepić, wycinać wycinanki, malować i fotografować. Pięciu autorów najlepszych prac zostanie zaproszonych na koszt redakcji do Szczecina, gdzie na pokładzie statku m/s „Leonid Teliga" zostaną im wręczone nagrody.

Prace z załączoną karteczką zawierającą imię, nazwisko, wiek wykonawcy, dokładny adres oraz szkołę lub kółko zainteresowań, do którego uczęszcza autor, należy nadsyłać na adres: „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa – Na opakowaniu należy napisać: „Pochwalmy się swoim regionem".

Warto o tym wiedzieć

Uczelnie, studenci, absolwenci

Poczynając od pierwszego roku akademickiego w Polsce Ludowej 1945–46 studia wyższe ukończyło do tej pory 850 tys. magistrów i inżynierów. Wielki przełom w szkolnictwie wyższym nastąpił po roku 1970, obrazują go poniższe liczby: rok 1970 – 27,8 tysięcy absolwentów, 1975 – 34,5 tysięcy, a w roku 1977 przewiduje się 44,4 tysiące. Pod względem liczby słuchaczy wyższych uczelni na 10 tysięcy mieszkańców znajdujemy się w Europie na bardzo dobrym miejscu ze wskaźnikiem 115 studiujących, podczas gdy np. w Czechosłowacji wynosi on 93, a w NRD – 86. Zostawiliśmy za sobą takie kraje jak Austria, RFN czy Szwajcaria. Czołową pozycję zajmuje ZSRR ze 186 studiującymi na 10 tys. obywateli.

Obecnie studiuje w Polsce 479,750 osób, z tego na studiach stacjonarnych 297,200; jeszcze w 1970 r. analogiczne liczby przedstawiały się następująco: 321 tys. i 207 tys. Z zestawienia tego wynikają dwa wnioski: a) bardzo szybko wzrosła ilość miejsc dla studentów „zwykłych" – na studiach dziennych i b) przed nikim, kto naprawdę chce się uczyć, kto jest zdolny nie zamyka się bram wyższych uczelni, młodzi a i starsi ludzie pracujący, mogą podejmować studia wyższe.

Obecnie mamy w naszym kraju 86 wyższych uczelni, nie licząc wojskowych. W czasie ostatnich lat osiągnięcia naukowe i wysoki poziom kadry naukowo-dydaktycznej sprawiły, że liczne szkoły wyższe w tym wszystkie ekonomiczne, a także techniczne w Rzeszowie, Białymstoku i Kielcach awansowały do rangi uczelni akademickich. Trzeba tu również wspomnieć o licznych filiach i punktach konsultacyjnych wyższych uczelni w wielkich zakładach przemysłowych, które w ogromnym stopniu umożliwiają pracownikom tych zakładów zdobywanie wyższych kwalifikacji.

Duże dotacje na rozwój wyższych uczelni, wpłynęły znacząco na możliwość zwiększenia ilości miejsc. Nie znaczy to jednak, by dla każdego chętnego było już miejsce. Aspiracje społeczne do studiów wyższych ciągle w Polsce rosną, co jest zjawiskiem zupełnie normalnym – ponieważ rośnie ogólny poziom wykształcenia społeczeństwa i jego stopa życiowa. Niestety, aspiracje te ciągle wyprzedzają możliwości uczelni. Potwierdza ten fakt proste porównanie: w roku 1971 wskaźnik zgłoszeń na jedno miejsce wynosił 1,92, a w roku 1973 już 2,35.

Reforma edukacji narodowej, którą zaczynamy już w przyszłym roku, wpłynie w sposób oczywisty na konieczność przeprowadzenia poważnych zmian w naszym szkolnictwie wyższym. (jk)

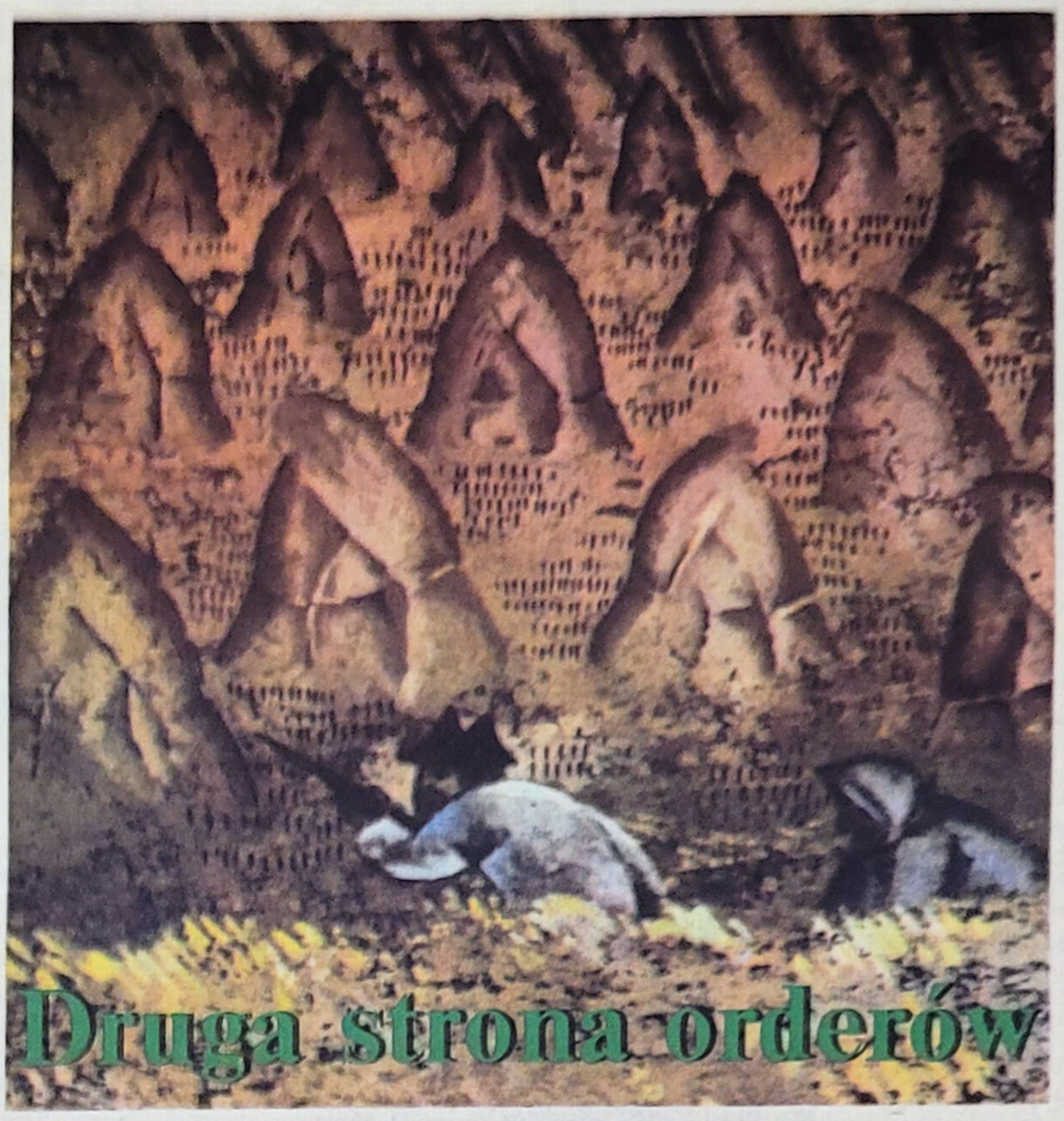

Druga strona orderów

Spotkałem kiedyś na reporterskim szlaku kobietę, zwykłą taką jak tysiące innych, a jednocześnie niezwykłą – zatrzymującą pamięć o sobie na długie lata. Wracam dziś do tamtego odległego w czasie spotkania – do tamtej rozmowy, a właściwie monologu owej kobiety, sprowokowanego zresztą przeze mnie. Monologu o przemijaniu, o strachu, bohaterstwie, głodzie i o czasie nie straconym. I wracam do swoich myśli o drugiej stronie orderów tylko od wielkiego święta noszonych, a zwykle zamkniętych w czerwonych pudełeczkach na dnie szuflady. O cenie niewymiernej, niewyobrażalnej, jaką płaci odznaczona nimi za te chwile w życiu, kiedy wszystko działo się w kategoriach ostatecznych: życia lub śmierci – walki lub hańby. Znów siedzę naprzeciw tej kobiety i słucham...

— Nie ma bohaterów z tamtych lat, poległi, a ci co żyją, to przez pomyłkę, przez przeoczenie losu. Nie byłam przy ich śmierci, ocierałam się tylko o nią. Wiem tak niewiele. Wtedy wydawało się, że człowiek robi dużo, dziś nie ma o czym mówić. Wszystko przesypało się przez palce jak piasek, zostały puste dłonie. O czym mówić? Byłam zawsze zwyczajną kobietą – „babą". Nie strzelałam, nie byłam żadnym działaczem, sekretarzem. Ot, zwykły szeregowy członek partii – Polskiej Partii Robotniczej. Tyle, że od początku, od 1942.

Dlaczego wstąpiłam do PPR? Może dlatego, że najbliżsi sąsiedzi bardzo prawicowi w poglądach politycznych, gdy gotowali obiad, to zamykali drzwi na klucz. Czasem zapominali i widziałam u nich mięso, białą mąkę. Jeden z tej rodziny to się nawet o mnie starał – o wdowę z dzieckiem. Ale ja byłam z innych, z tych najbiedniejszych. Gdy miałam czternaście lat, poszłam do fabryki w mojej rodzinnej miejscowości, do słynnej fabryki porcelany Ćmielów. Robiłam ucha do kubków, filiżanek, cukiernic, do tych wszystkich porcelanowych cacek. Tam poznałam pierwszego męża, on te ucha przyklejał. Wyszłam za mąż w 1937, do września 1939 przeżyłam dni jak marzenie, nie mogę i dziś uwierzyć, że to naprawdę było. Zginął we wrześniu pod Błoniem, niedaleko Warszawy.

Dlaczego wstąpiłam do PPR? Może dlatego, że przed wojną należałam do Organizacji Młodzieżowej Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, organizacji młodych robotników związanej z Polską Partią Socjalistyczną. Należułam tam razem z mężem. Przez niego poznałam jego kuzyna – komunistę. I to właśnie on później za Niemca dawał mi gazetki komunistyczne do czytania, mówił o tym jaka Polska powinna być. To on zorganizował naszą „piątkę" PPR-owską, w której były cztery żony gwardzistów – partyzantów i ja – wdowa po żołnierzu. Tylko, żeby to nie wyszło, że ja tam strzelałam, albo jakieś tam bohaterskie rzeczy. Walczyli inni, ja pomagałam...

A czyż jest bohaterstwem głodowanie? – myślę. ***Posiadanie jednej sukienki, uszytej z marnie ufarbowanej puszczającej na deszczu kapy na łóżko? Życie od dnia do dnia z ciągłą troską co się da dziecku jeść, co włoży się jutro do garnka? Kto nazwie bohaterem matkę, która wychodzi o świcie głodna z domu do fabryki, mając w kieszeni jedynie kawałek brukwi, bo ostatnią kromkę chleba zostawiła dziecku? Bohaterem jest ten co walczy, nie jest nim przecież kobieta idąca z płachtą tuż za linią frontu, pod kule, pod rozrywające się pociski i zbierająca zboże, którego nie zdążyli sprzątnąć z pola wysiedleni gospodarze. To żaden czyn, zebrać snopek w płachtę i bić w niego kijem na odkrytym polu, by ziarno oddzielić od kłosów. To tylko*** – jak mówi moja rozmówczyni – ***ogromna radość, że się zdobyło dla dziecka coś do zjedzenia.***

– Przenosiłam leki z zakonspirowanego magazynu, które później koleżanki – towarzyszki, mające mężów w lesie, zanosiły do oddziału. Zdarzało się i przenosić broń. Co ja się strachu najadłam, gdy z dwoma pistoletami w kobiałce spotkałam się z niemieckim patrolem na rogu ulicy... Zbierałyśmy informacje dla partyzantów; bo ja zresztą już pamiętam co się wtedy robiło – wykonywało się rozkazy. Zapamiętałam najlepiej strach. Lęk przed dostaniem się w niemieckie łapy. Bo cóż z tego, żeśmy przysięgali? Ten, kogo dostali Niemcy mógł nie wytrzymać tortur, złamać przysięgę i zdradzić towarzyszy. A myśmy się tu wszyscy znali od dziecka.

Straszni byli hitlerowcy, ale dla nas komunistów, nie tylko oni. Jest pod Ćmielowem taka wioszczyna, Piaski się nazywa. Tam był smród, głód, nędza i ubóstwo. Chałupki pobudowali sobie tamtejsi z tego, co na plecach z lasu przynieśli. Pewnej nocy przyszli do Piasków tacy w polskich mundurach wojskowych i zabrali wszystkich mężczyzn. Czterdziestu dziewięciu, w tym chłopaków, dzieci prawie. Pognali ich do majątku Łyse Wody w lasach. Co oni z nimi wyprawiali, jak ich męczyli, aż zamordowali wszystkich. A kto to był? Polacy, swoi. Tylko, że z Narodowych Sił Zbrojnych – faszyści. Za cel postawili sobie nie walkę z okupantem ale tępienie „czerwonych". A łatwo było do nas trafić, łatwo nas poznać. Gdzie duża bieda była, tam byli i komuniści. Do nas przychodzili radzieccy żołnierze, uciekinierzy z jenieckich obozów. Oni tą samą drogą szli – wiedzieli, że gdzie bieda, gdzie ludzie nędznie ubrani tam otrzymają pomoc.

Dlaczego poszłam właśnie do PPR? Teraz już pan chyba rozumie? Do jakiej innej partii ja, robotnica od czternastego roku życia, w biedzie wychowana, miałam wstąpić?

Ale mogłaby być jeszcze inna odpowiedź na to pytanie – do żadnej! Partia na początku swej wojennej działalności nie była, rzecz oczywista, tym czym jest dziś, ani w sensie liczebności członków, ani w sensie znaczenia politycznego. Należenie do „czerwonych", do komunistów było sprawą odwagi i ... wiary. Wiary w słuszność idei, o jaką ta partia walczyła. Bo pewności sukcesu – nie miał nikt. Ciągle przecież dla robotników Ćmielowa bardziej rzeczywisty był właściciel fabryki, co to czasem przyjeżdżał i jak go moja rozmówczyni zapamiętała był „wysoki i tęgi", niż słowa towarzyszy, czy artykuły w konspiracyjnych partyjnych gazetkach zapewniające w 1943 roku, że „wszystkie fabryki przejdą w ręce narodu" i że „władzę w Polsce po zwycięskiej wojnie obejmie klasa robotnicza".

– Nikt, nikt z nas wtedy nie myślał, że coś będzie miał dla siebie z tej roboty. Komu się tam śniły ordery, zaszczyty, władza. Jeszcze w tej chwili nie mieści mi się w głowie, że ja tu z dziennikarzem sobie rozmawiam, do mikrofonu mówię jak jaka gwiazda radiowa, albo jak nie wiadomo jaka figura. Tylko czas pan stracił ze mną...

W pokoju jest gorąco, ale kobieta otula się szalem, ręce jej drżą. To zdenerwowanie wywołane powrotem do tamtych lat, przeżywanych na nowo raz jeszcze. Który raz? To druga strona tych leżących w szufladzie orderów i medali. I jeszcze kłopoty z ciśnieniem, źle ze stawami, wrzody żołądka. To cena płacona od lat, codziennie, co noc w każdej przeżytej godzinie za tamte odległe czasy, kiedy to młoda wdowa po żołnierzu przystała do „czerwonych".

JERZY KOWALKOWSKI
Ilustr. Antoni Boratyński

O sześć tysięcy zaawansowanych...

O działalności Polskiego Komitetu Olimpijskiego na ogół wiadomo tyle że zajmuje się krzewieniem idei olimpijskiej, gromadzi złotówki na pokrycie kosztów udziału naszych reprezentantów w kolejnych igrzyskach i... liczeniem zdobytych medali. Bardziej wtajemniczeni wiedzą jeszcze o tym, że zasiadający we władzach PKOl działacze zastanawiają się nad tym, żeby młode panienki zechciały biegać tak szybko jak Irena Szewińska, a Władysław Komar nie musiał pchać kuli tak długo aż dorośnie Komar-junior.

Właśnie z tego ostatniego zdania wyłania się problem, który przeciętny zjadacz chleba dostrzega dopiero wtedy, kiedy porównuje medalowe zdobycze biało-czerwonych z sukcesami choćby naszych zachodnich sąsiadów. Ale kiedy rozpoczyna się rozmowę na temat powszechnego uprawiania sportu – najczęściej spotykaną odpowiedzią jest lekceważące machnięcie ręką i wyliczanie frazesów o organizacyjnym zacofaniu i braku modelu.

Warto jednak wiedzieć, że na igrzyska w Moskwie trzeba już w tej chwili grupy sześciu tysięcy wysoko zaawansowanych w sporcie wyczynowym kandydatów. Dopiero z takiej grupy można bowiem dokonać wyboru tych najlepszych. Prawdą jest, że „pierwszych lepszych" mamy w bród, ale trudno jest znaleźć tak liczną grupę najlepszych.

Przyczyn można szukać w błędach organizacyjnych, czy w niedoskonałościach modelowych naszego sportu wyczynowego, ale będą to poszukiwania jednostronne. Igrzyska szkolne i międzyszkolne obfitują w sportowe talenty, ale ich pasja sportowa kończy się w miarę dorastania. Wiadomo, w sporcie istnieje ryzyko, a młodzi wolą szukać dla siebie miejsca w innych dziedzinach życia, w których ryzyko nie istnieje. Wyjście z tej sytuacji może być jedno – zdobywanie mistrzostwa sportowego i wykształcenia. Połączenie jednego z drugim wymaga jednak pasji i wyrzeczeń. Szczupłość naszej sportowej czołówki świadczy raczej o tym, że niewielu młodych ten trud podejmuje. Ba, są tacy, którzy uważają, że to nie jest konieczne, że sport powinien zabezpieczać na całe życie.

Nie do rzadkości należą też przypadki, kiedy to każdy ciągnie w swoją stronę: trener medale uważa za pępek świata, a nauczyciel – naukę. Idealnie dobra sytuacja jest tylko wtedy, kiedy trener lubi naukę, a ten ostatni sport i sportowca. Na „lubienie" nie ma jednak recepty, chociaż naukowcy z Zakładu Pedagogiki AWF ustalili, że w szkołach sportowych wyniki w nauce są równe, a w wielu przypadkach lepsze niż w pozostałych szkołach. Nie wszyscy sportowcy wyczynowi muszą zaraz być magistrami. Najistotniejsze jest chyba uzyskanie konkretnego zawodu. Wszak zawód dobrego robotnika czy rzemieślnika nie hańbi!

Operowanie w odniesieniu do sportowców kategoriami ekonomicznymi – materiał, towar, surowiec – młodych do sportu też nie zachęca. No cóż, prezesami wielu klubów sportowych są dyrektorzy fabryk, którzy na co dzień operują tymi właśnie kategoriami... Dziwi co najmniej fakt, że we władzach klubów i organizacji sportowych nie ma dość miejsca dla młodych – zawodników, od których oczekuje się wielkiego wyniku. Bez równości szans w dyskusji i partnerstwa dochodzenie do tych wyników jest utrudnione.

Nad tymi m.in. problemami obradowało ostatnio zgromadzenie sprawozdawczo-wyborcze Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Nasi reprezentanci zdobyli już 147 medali olimpijskich. W Montrealu 26 razy stawali na podium zwycięzców. Nowo wybranym władzom PKOl życzymy podwojenia liczby olimpijskiego kruszcu i zwolenników tej pięknej idei sportu.

RYSZARD RATAJCZYK

Tydzień w kolorze biało-czerwonym

CZYLI

NASZĄ RZECZĄ JEST OJCZYZNA

Ten tydzień wyjątkowo ma dwa kolory, takie same jak nasza flaga narodowa. Jest to tydzień uroczysty, bowiem za kilka dni Ojczyzna nasza – Polska Ludowa, obchodzić będzie swoje 33 urodziny – Święto Odrodzenia po hitlerowskiej okupacji. To bardzo ważne dla całego narodu, dla każdego Polaka, dla Waszego zastępu wydarzenie. Jak uczcimy narodziny Polski? Oto nasze propozycje, które możecie zrealizować w całości lub w części wzbogacając je własnymi pomysłami.

Zadanie pierwsze: Wieczór wspomnień

Dla Was dzień narodzin Polski Ludowej, to historia, dla Waszych rodziców, dziadków i babć – stanowi część ich życiorysu. Byli jego naocznymi świadkami. Wcześniej, w czasie okupacji, walczyli o Polskę, a później o utrwalenie władzy ludowej. Był to czas trudny, czas, w którym trzeba było ciągle wybierać między życiem i śmiercią.

Zadanie pierwsze tygodnia w kolorze biało-czerwonym będzie polegało na zorganizowaniu **wieczoru rodzinnych wspomnień**. Jest to zadanie indywidualne dla każdego członka zastępu. Każdy z Was powinien więc namówić swoich rodziców na wieczór opowieści i wspomnień o czasach młodości. Jak się wtedy żyło, jakie mieli kłopoty i jakie radości. Do udziału w tym wieczorze zaproście również babcie i dziadków, bo nie wszyscy Wasi rodzice mogą pamiętać tamte lata.

Wspomnienia Waszych rodziców, babć i dziadków nie powinny pójść w zapomnienie, spiszcie więc je możliwie jak najdokładniej. Na następnym spotkaniu, już całym zastępem, opowiedzcie sobie nawzajem, czego dowiedzieliście się w czasie rodzinnego wieczoru. Natomiast utrwalone na kartkach wspomnienia wklejcie do kroniki Waszego zastępu. Powstanie w ten sposób piękny dokument tamtych dni, który już po rozpoczęciu roku szkolnego powinniście przekazać do izby pamięci narodowej lub do gabinetu historycznego w Waszej szkole. Natomiast „Świat Młodych" spodziewa się, że najciekawsze fragmenty wspomnień przyślecie do redakcji. Czekamy!

Zadanie drugie: Nasza wizytówka

22 Lipca jest okazją, aby pochwalić się tym, czego dokonaliśmy w minionym okresie, z czego jesteśmy dumni, co zbudowaliśmy. I oto mamy dla Was kolejne zadanie, tym razem reporterskie.

Przeprowadźcie zwiad w Waszej miejscowości lub okolicy i sporządźcie listę rzeczy, które powstały tam w ostatnich latach. Co się zmieniło na lepsze, co zbudowano, jak zmieniło się życie ludzi, co nowego zakupiono do mieszkań, do gospodarstwa itd. itd. O najciekawszych sprawach, które według Was są najlepszą wizytówką Waszej miejscowości – napiszcie do nas w meldunku.

Zadanie trzecie: Urodzinowy prezent

Na urodziny przychodzimy zawsze z prezentem. A jaki prezent podarować Polsce na jej 33 urodziny? Możliwości jest sto, trzeba tylko solidnie ruszyć głową, żeby Wasz upominek był superbombowy. Musi to być coś takiego, czemu podołacie, a jednocześnie coś takiego, żeby wszystkim dookoła zaimponowało.

Np. może to być uporządkowanie przystanku autobusowego PKS, klombu przed szkołą, naprawienie kładki przez strumyk. Możecie także przyłączyć się do jakiegoś większego przedsięwzięcia podejmowanego przez koło ZSMP, czy organizację partyjną. Miłym upominkiem będzie również zrobienie porządków wokół własnego domu, na podwórku. Takie same porządki, już całym zastępem, powinniście zrobić w obejściach ludzi starszych, samotnych. Trudno zresztą podpowiedzieć Wam, jakie jeszcze inne zadanie możecie wykonać. Jeśli rozejrzycie się sami – znajdziecie dziesiątki innych. Chodzi tylko o to, żeby to co zrobicie, miało sens i rzeczywiście było przydatne.

Zadanie czwarte: Niech płoną ognie młodych serc

To zadanie jest najtrudniejsze, ale równocześnie najciekawsze. Wczesnym wieczorem w dniu Święta Odrodzenia zorganizujcie uroczyste ognisko, na które zaproście Waszych rodziców, opiekuna zastępu, a także wszystkie dzieci z Waszej miejscowości i okolicy. Ponieważ przygotowanie ogniska wymagać będzie sporo pracy, jeden zastęp może nie dać sobie rady. Dobrze byłoby więc, aby w tej imprezie wzięły udział również inne zastepy wakacyjne działające na Waszym terenie. Jeśli Wasz zastęp jest jedyny, zaproponujcie współpracę kołu SZMP. Na pewno nie odmówią.

Wieczorne ognisko mogą poprzedzić różne zawody sportowe (mecz piłki nożnej, dwa ognie itp), gry zręcznościowe, wyścigi w workach dla młodszych dzieci, bieg z jajkiem na łyżce, rzuty do celu piłeczką – słowem, im więcej przygotujecie atrakcji, tym bogatsze będzie święto.

A wieczorem przy ognisku... Na jego program powinny złożyć się piosenki partyzanckie oraz z okresu pierwszych dni odbudowy, wiersze patriotyczne. Dobrze byłoby, aby opiekun Waszego zastępu lub ktoś z rodziców wygłosił gawędę o czasach narodzin Polski Ludowej.

Ogromnie pomocnym dla Was materiałem jest książka wydana przez Harcerskie Wydawnictwo „Horyzonty" (tom 7) pt. **„Nasze ogniska"**. Na str. 83 zamieszczono w niej cały program lipcowego ogniska pt. **„Niech płoną ognie młodych serc"**. Z tego właśnie programu pochodzi wiersz zamieszczony na tej stronie pod zdjęciami.

Wieczorne ognisko powinny urozmaicić konkursy. Jeden z nich może nosić nazwę – **„Królowa polskich rzek"**. Oczywiście królową naszych rzek największą i najpiękniejszą, opiewaną w książkach, poematach, piosenkach – jest Wisła. Od źródeł do Bałtyku płynie w całości przez nasz kraj. Nad jej brzegami rozsiadły się dziesiątki miast, setki wiosek.

Konkurs podzielimy na dwie części. Pierwsza będzie polegała na tym, aby wszyscy uczestnicy ogniska wypisali na kartkach nazwy miast i mniejszych miejscowości, które znajdują się nad brzegami Wisły. Oczywiście wcześniej powinniście przygotować odpowiednią ilość kartek i ołówków. Zwycięża ten, kto tych miejscowości wymieni najwięcej.

Część druga konkursu będzie dotyczyć wymienienia (również na kartkach) możliwie największej liczby nowych zakładów przemysłowych, jakie zbudowaliśmy po wojnie nad brzegami Wisły. I znowu – kto wymieni więcej takich zakładów, ten zwycięża w konkursie. Jeszcze inny konkurs może dotyczyć wymieniania naszych bogactw naturalnych lub urządzeń przemysłowych i towarów, z których słynie nasz kraj i które eksportujemy za granicę. Trzeba tylko pamiętać, aby konkursy nie leciały jeden za drugim, lecz przeplatać je wierszami i piosenkami. Warto też dla zwycięzców konkursów przygotować drobne nagrody, mogą to być np. słodycze, cukierki, lizaki itp.

Tydzień w kolorze biało-czerwonym powinniście zacząć od wyszukania przyjaciela zastępu. Powinien to być ktoś, kto walczył o Polskę Ludową. Przyjacielem może być partyzant, członek Polskiej Partii Robotniczej, żołnierz Ludowego Wojska Polskiego lub po prostu człowiek, który swoją pracą dla Polski zyskał sobie uznanie i szacunek. Może to być zarówno mieszkaniec Waszej miejscowości lub ktoś sławny, o kim uczyliście się w szkole lub czytaliście w książkach. Wybierzcie sobie przyjaciela, którego cechy charakteru – odwagę, poświęcenie, patriotyzm – są Wam bliskie i chcielibyście je naśladować.

PRZYPOMINAMY: Prosimy o nadsyłanie meldunków z przebiegu zadań i z wyboru przyjaciela zastępu (z uzasadnieniem). Zarabiacie w ten sposób punkty dla Waszego województwa w „Konkursie 49".

Kolorowy Sztab NAL „Świata Młodych"

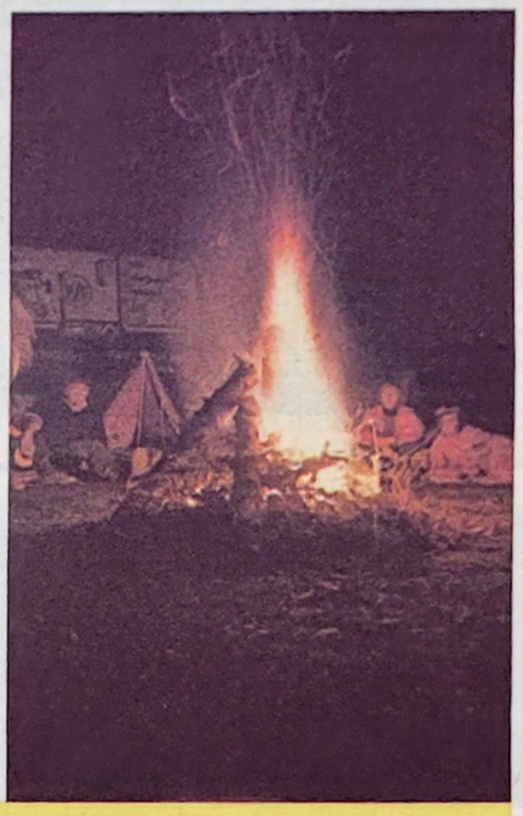

NA MAPIE

Na mapie jest wiele miast, są morza i pasma gór.
Sto dróg wije się
w zieleni i mgle,
barwne kraje wołają, przybądź tu.
Są wiatry z dalekich stron,
są palmy odległych wysp,
jest blask srebrnych szyn,
przygoda jak film,
pomruk dżungli, nieznanych ptaków krzyk.

Jest kraj, na mapie jeden kraj,
ten sam, co z tobą wzrastał.
Twój dom jak gwiazda świeci tam,
twój dzień melodię znaną gra.
Na świecie jest wiele barw,
rwą oczy kolorów grą,
lecz ty dobrze wiesz,
że czerwień i biel
znaczą tyle, co twój rodzinny dom.
W twoim kraju jedyny w świecie dom.

WALKA o proporce

W grze, którą przeprowadzamy w terenie urozmaiconym lub w lesie, biorą udział dwa, równe pod względem liczebnym zespoły. Oddalają się one od siebie na odległość 500–700 metrów i pozorują nieprzyjacielskie obozy. W środku obozów, na widocznym miejscu, umieszczają proporzec, którego strzegą 3–4 posterunki, rozstawione w odległości kilkudziesięciu metrów od obozu. Wartownicy, aby można ich odróżnić od pozostałych uczestników gry, oznaczeni są chustami. Oba zespoły wysyłają zwiadowców celem zdobycia proporców.

Zwiadowcy, gdy się spotykają, nie zwracają na siebie uwagi, ani też nie informują własnych wartowników o kierunku poruszania się przeciwnika. Następnie przekradają się w ten sposób, aby ominąć nieprzyjacielskie posterunki. Komu się to uda i znajdzie się na terenie obozu rywala – zabiera proporzec. Teraz, w drodze powrotnej, musi ponownie ominąć linie straży. Gdy zostanie złapany (dotknięty przez wartownika), oddaje zdobycz, którą umieszcza się w dawnym miejscu. Złapanych wyklucza się z gry.

Zwycięża ten zespół, który prędzej przyniesie do własnego obozu proporzec przeciwnika.

REDAKCYJNA POCZTA

OD REDAKCJI: Spośród kilkudziesięciu listów nadesłanych do Anny drukujemy najciekawsze. Annę prosimy o podanie adresu, gdyż wiele dziewcząt i chłopców pragnie z nią korespondować. A zatem wraz z czytelnikami „Poczty" pilnie oczekujemy na list.

Czy przyjaźń naprawdę sama przychodzi?

Piszę w sprawie Anny – Eleonory z nr 74 „ŚM". Jej kłopot polega na tym, że nie może znaleźć prawdziwego przyjaciela. Anna, jak pisze, brała udział w konkursach piosenek, pisała do nich słowa, otrzymywała dyplomy, przygotowywała akademie itp. Z tego wynika, że bierze czynny udział w życiu szkoły, co zapewne jest powodem jej konfliktów z klasą. Niewiele jest osób lubiących tych, którzy za bardzo się angażują.

Koleżanki Anny trochę zazdrościły jej talentu organizatorskiego, a może przemawiała przez nie zwykła złośliwość? Z kolei takie zawieranie i zrywanie przyjaźni oraz obgadywanie jest rzeczą dziecinną i głupią. Na pewno uważa się to za rodzaj zabawy. Ale w ten sposób można skrzywdzić kogoś, kto naprawdę pragnie prawdziwej przyjaźni. Ania pisze, że na zabawie szkolnej poproszono ją do tańca tylko raz. Uważa, że powodem tego był brak szałowego stroju. Ja myślę, że nie. Nie rozumiem, dlaczego pisze, że się ją omija. Może po prostu – nie zauważa? Klasa uważa ją za kogoś stworzonego tylko do organizowania akademii. Ja jednak bym się tym nie martwiła, bo przecież nie każdy może mieć taki talent jaki ma Ania. A jeśli chodzi o przyjaźń, to nie trzeba jej szukać. Najczęściej przychodzi sama.

Sylwia

Andrzej Skrzypek, 26-300 Opoczno, ul. Kazimierza Wielkiego 4b. Zbiera znaczki pocztowe, widokówki, zdjęcia piosenkarzy. Interesuje się sportem i historią. Szuka przyjaciół o podobnych zainteresowaniach.

Anno, broda do góry!

Anno, podobnie jak Ty mam 14 lat. Ja także poszukuję przyjaciela i nie mogę go znaleźć. Próbowałam się zaprzyjaźnić z dwoma koleżankami. Jedna mnie zdradziła, a druga obmówiła. Dlatego zaczęłam pisać pamiętnik. Pomaga, gdyż mam „komu" zwierzyć się z tajemnic i kłopotów. Poza tym – trzymam się, noszę brodę do góry. Spróbuj i Ty tak postępować.

Małgorzata

Aniu, nie rezygnuj ze swojej postawy

Myślę, Aniu, że kolegów ze szkoły chcesz zachęcić do działalności społecznej, a oni tym się nie interesują, a nawet nie lubią. Dlatego nie jesteś przez nich rozumiana, nie potrafią pojąć sensu Twej pracy. Ty widzisz w niej przyjemność, oni udrękę. Dlatego nie jesteś przez nich akceptowana. Są to przecież ludzie lubiący spędzać czas bezczynnie, np. siedzieć godzinami przed telewizorem. Zgadzam się, że Twoja postawa jest właściwa, gdyż pomaga w rozwoju i w nauce.

Ten argument do tego typu ludzi jednak nie przemówi. Przyjaciela znajdziesz w osobie, której imponuje to, co sobą zaprezentujesz.

Romeo

Kogo się boi „czerwony kur”

Z kapitanem Stefanem Gawrońskim umówiliśmy się na spotkanie w niedzielę, punktualnie o ósmej. Dziesięć minut później ruszyliśmy na pożarniczy zwiad po okolicy Częstochowy. Najpierw pojechaliśmy do Nierady w gminie Poczesna.

POŻAR NA WPROST!

– Rota I i rota II wybudują dwie linie gaśnicze. Zadanie wykonać! – Krzysiek donośnym i stanowczym głosem wydał rozkaz i jedenastu chłopców pobiegło do wozu bojowego. Błyskawicznie rozwijają i podłączają do zbiornika z wodą wąż. Zbyszek dokręca rozdzielacz, skąd dwa zespoły rozwijają węże i mocują prądownicę. Wszystko gotowe i... woda naprzód! Dokładnie po 95 sekundach płonące opony zostały ugaszone. Aaaale tempo!

Kapitan Gawroński uśmiecha się. Chłopcy mają po jedenaście lat, a dzisiejsze ćwiczenia wykonali szybciej od dorosłych! I z jaką powagą! Jak prawdziwi strażacy. A przed rokiem, gdy pierwszy raz przyszli do remizy, mieli poważne kłopoty z prawidłowym rozwinięciem węża strażackiego.

Prócz nas ten pokaz sprawności oglądało wielu ludzi. Na sygnał syreny zbiegła się pod remizę chyba połowa wsi. Stanęli w grupkach, założyli ręce, coś tam między sobą mówią, śmieją się, trochę dowcipkują. Strażacy wiedzą, że takie ćwiczenia to nie tylko zabawa. Najdumniejsi są panowie Józef Świderski i Franciszek Suszek. Obaj są strażakami – ochotnikami w Nieradzie. A w drużynie, którą podziwialiśmy, są ich synowie: Zbyszek i Irek.

Ogniowe manewry skończone. Kapitan Gawroński wszystkim chłopcom gratuluje, każdemu mocno ściska dłoń i... podaje radosną nowinę! Dla wszystkich przygotowano uzbrojenie osobiste – strażacki pas i toporek! To nagroda za wzorową pracę.

REMANENT PRZECIWPOŻAROWY

Każda dobra gospodyni dba o porządek w domu na bieżąco. Ale oprócz tego co najmniej raz na miesiąc robi gruntowne porządki. Kapitan zaprasza na takie strażackie porządki do Wrzosowej. Od rana wędrują po wsi specjalne patrole. W każdym z nich jest jeden dorosły strażak i trzech harcerzy. Odwiedzają gospodarstwa i sprawdzają, czy przepisy przeciwpożarowe są należycie przestrzegane. Jeszcze do niedawna najwięcej kłopotów było ze strychami. Gromadzono tam najprzeróżniejsze rupiecie, będące „przysmakiem” ognia. Ale po ostatnim pożarniczym remanencie sprawę załatwiono. Strażacy w harcerskich mundurach długo i wytrwale pracowali i teraz we Wrzosowej na strychach panuje idealny porządek, są skrzynki z piaskiem, tłumice, nawet prawdziwe gaśnice. Największy kłopot sprawia wadliwa instalacja elektryczna. Złe przewody, niefachowe podłączanie urządzeń, domowe sposoby na bezpieczniki są bardzo groźne i mogą spowodować pożar.

Patrole wracają z niedzielnego rekonesansu. Kolejno składają raport. Ogólnie jest wszystko w porządku. To z pewnością efekt poprzednich przeglądów i akcji. Ale pewne rzeczy trzeba jeszcze uzupełnić. W dwóch gospodarstwach jest bałagan w obejściu. Leżą tam papierowe worki po cemencie, wióry i drewno, a obok pojemnik z naftą. Chłopcy w najbliższych dniach przyjdą pomóc w uporządkowaniu podwórza.

W starym domu na końcu wsi spotkali gospodarza, który coś robił w komórce przy zapalonej świeczce. A tam pełno było drewna i słomy... Długo musieli wyjaśniać i przekonywać, że bezpieczniej jest używać elektryczną latarkę.

Parę rzeczy trzeba zrobić jeszcze dziś. Ktoś wylał wodę z jednej beczki przeciwpożarowej, w drugiej woda jest, ale pełno w niej śmieci. Trzeba ją oczyścić. Przyda się też przynieść piasku do skrzynki, bo ktoś go rozsypał wokoło. W tym tygodniu trzeba kupić farbę i odświeżyć tablicę przeciwpożarową. No i dorobić uchwyt do bosaka. Jutro Janek z Andrzejem rozlepią po wsi plakaty przeciwpożarowe, które malowali na ostatniej zbiórce.

Fot. **M. Żbikowski**

W DZIERŻONIOWIE ZNÓW COŚ NOWEGO

Walc na... cztery kanały

Kiedyś było tak: na zewnątrz budynku mocowało się stu – albo i więcej metrowej długości drut. Do skonstruowanej w ten sposób anteny podłączano kryształek kwarcu, słuchawki i przewód uziemienia. Wystarczyło teraz założyć słuchawki na głowę... i już radio było włączone. Tak, radio – ponieważ pierwsze radioodbiorniki detekcyjne tak właśnie wyglądały. Istniały przemyślne sposoby udostępniania dźwięku innym osobom. Jeden z nich polegał na umieszczeniu słuchawek w kryształowej misie. Zbliżając do niej głowy, mogły słuchać muzyki nawet cztery osoby!

Współczesne radioodbiorniki i swym wyglądem, i parametrami technicznymi daleko odbiegają od tamtych prymitywnych detektorów. Lepsza nieporównywalnie jakość dźwięku, ale też słuchanie programów w większym gronie jest zajęciem daleko mniej towarzyskim, niż w dawnych, pionierskich czasach. Wystarczy przecież wcisnąć ileś tam przycisków, dostroić odbiornik do żądanej stacji – i już po kłopocie. Inżynierowie elektronicy wymyślają coraz to nowe udogodnienia: automatyczną regulację barwy głosu, doskonalsze wnętrza, stereofonię. Nawet modele powstałe na przestrzeni dziesięciu, piętnastu lat różnią się od siebie tak bardzo, że aby uruchomić radio nowsze, trzeba wpierw przeczytać sporej grubości instrukcję obsługi.

Najmłodszy prawnuk...

...produkowanej ongiś w Dzierżoniowie „Agi” to inne „wnętrze”, a co za tym idzie doskonalsze walory techniczne, lepsza słyszalność, mniejszy pobór mocy. Tę nowoczesność mierzoną nie tylko liczbą instalowanych głośników dostrzegamy dopiero wówczas, gdy okazuje się, że po włączeniu radio nie musi się rozgrzewać, nie trzeba go co pewien czas dostrajać do tej samej stacji. A przecież po zdjęciu tylnej ścianki odbiornika nie widać w nim lamp, układ elektryczny zajmuje w sumie mniej miejsca, niż dawny głośnik. Dlaczego więc taki duży? Otóż wymagania klientów sprecyzowane zostały jasno: wyraźna, oświetlona skala, łatwe w obsłudze przełączniki, wysokie walory akustyczne. Małe pudełko nie mogłoby tego zapewnić.

Dzisiejszy klient...

...stał się bardzo grymaśny i byle czego nie kupi. Nie zadowala go już ściszone chrypienie miniaturowej zabawki, pragnie odbierać audycje tak, jak zostały one nagrane, czyli maksymalnie wiernie. Trudno się zresztą dziwić, głos z odbiorników systemu monofonicznego rzeczywiście przypominał dźwięki płynące przez wybitą w murze dziurę. Nie dawał wrażenia różnorodności źródeł akustycznych, a przecież każdy wie, że słuchając małej nawet orkiestry nie umiejscawia jej w jednym tylko punkcie przestrzeni. Z lewej smyczki, z prawej instrumenty blaszane, a w środku bęben – czyż jest to mały jak głośnik punkt? Stereofonia problem ten oczywiście załatwia. Jest już możliwa do odebrania pewna panorama dźwięków, wyraźnie słychać, jak co innego odtwarza głośnik prawy, a co innego lewy. Przekornemu klientowi przyszła wszakże do głowy myśl szalona na pozór. A gdyby tak siedzieć nie przed orkiestrą, a w jej środku, między grupami instrumentów? I słuchać muzyki docierającej ze wszystkich stron. Na lewo i prawo przede mną, z prawej i z lewej za mną... Cztery – quadro... A więc

Kwadrofonia...

...to jest to, co zapewni pełnię doznań!

Inżynierowie elektronicy bardzo długo zastanawiali się nad technicznym rozwiązaniem tego niebagatelnego problemu. Sprawę w końcu rozwikłano, tyle tylko, że na trzy różne sposoby. I jak to w życiu bywa, żaden z nich nie okazał się lepszy, ani tańszy od innych. Amerykanie mają własne systemy kwadrofonicznego odbioru oznaczone literami **SO** i **OS**, Japończycy mocno trzymają się systemu CD 4. Jedni i drudzy reprezentują określone racje, czy to ekonomiczne, czy techniczne. Polska wybrała najszerzej rozpowszechniony w tej chwili system **SO**. Jego zalety to nie tylko niższe koszty wytwarzania aparatury – w systemie tym można nagrywać płyty i taśmy magnetofonowe, a także odbierać audycje mono- i stereofoniczne. Jego wady to wzajemne przenikanie się sygnałów z czterech kanałów – tylko najdroższy system japoński wady tej nie posiada. Nie trzeba jednak w systemie **SO** budować nowych nadajników radiowych; w już istniejących wystarcza zamontowanie niezbyt drogiej przystawki. Tak, jak zrobiono to we Wrocławiu, skąd raz na tydzień płynie porcja muzyki na... cztery głośniki.

Reakcja Dzierżoniowa...

...na nowości stereofoniczne była natychmiastowa. Opracowano modele odpowiednich radioodbiorników i gdyby nie fabryki podzespołów elektronicznych – taśmy z „Elizabeth-Stereo” ruszyłyby dużo wcześniej. (Kooperantom „Diory” trudno się zresztą dziwić, na całym świecie opracowanie nowych technologii produkcji trwa bardzo długo). Dzisiaj każda partia tego nowoczesnego sprzętu błyskawicznie znika z półek sklepowych, mimo nie najniższej ceny. Co dalej? Dalej to już właśnie

„Cezar”...

...czyli najmłodsze i najnowocześniejsze dziecko kwadrofoniczne. Jego konstruktor, Stefan Herc, stworzył aparaturę, której działania nie sposób dostatecznie przekonywająco opisać. Tego po prostu trzeba wysłuchać! Inżynier Józef Lipnicki z Biura Rozwojowego „Diory”: *„odbiornik parametrami technicznymi w niczym nie ustępuje konstrukcjom przodujących firm światowych. A przeprowadzone wszelkie możliwe badania, zarówno w komorze bezechowej, jak i w warunkach, jakimi dysponujemy w typowych pomieszczeniach mieszkalnych...”*

Kiedy „Cezary” pojawią się na rynku i kiedy staną się dostępnym sprzętem elektroakustycznym? Pierwsza ich partia opuści fabrykę jeszcze w tym roku, będzie to niewielka liczebnie seria próbna. Natomiast ilości lat, które upłyną do chwili, gdy radia te staną się powszechne, nikt nie jest w stanie przewidzieć. Problemów do pokonania wiele: stacje nadawcze, baza nagraniowa, serwis naprawczy. No i niebagatelna z konieczności cena: co najmniej dwóch radioodbiorników stereofonicznych wysokiej klasy. Czekać jednak warto – wrażenia niezapomniane! A póki co – zdajemy sobie sprawę, jak daleką drogę przebyli konstruktorzy, zanim można było postawić obok siebie choćby dwie, produkowane po wojnie skrzynki: „Agę” i „Cezara”...

MAREK ZARĘBSKI
Fot. **Kajetan Adamowski**

Cezar w całej okazałości – ani jeden głośnik, ani jeden przycisk nie jest tu zbędny

DWA ŚWIATY

W klubie siedziało przy stolikach kilkanaście dziewcząt i kilku chłopców. Wszyscy ubrani według najnowszej mody – po sportowemu, z pewną można powiedzieć wyszukaną dystynkcją. Króluje kolor blue. Chłopcy jak jeden mąż w dżinsach i kraciastych koszulach z podwiniętymi rękawami. Dziewczęta w kolorowych bawełnianych bluzkach, dżinsowych spodniach lub spódnicach.

Są jeszcze nastolatkami, a wyglądają już... staro. Patrząc na ich twarze nie można oprzeć się wrażeniu, że są smutne.

Zachowują się z umiarem i powagą. Toczą długie dyskusje. Właściwie po to przychodzą do klubu, by przy kawie lub lampce wina, koniecznie czerwonego, rozmawiać o nurtujących ich problemach. Są poważni, śmiertelnie poważni i tym się różnią od pozostałych osób w klubie. Tworzą zamknięte królestwo szesnastoletnich gorzkich filozofów. Nikt ich nie rozumie, czują się w tej olbrzymiej masie rówieśników jak ludzie z innego świata, mimo że nie odróżniają się strojem.

Pochłaniają olbrzymie ilości książek, uczą się języków obcych. Podczas rozmów używają wyszukanego słownika. Z reguły lekceważą nauczycieli, profesorów. Przecież profesorowie nie dorównują im wiadomościami – twierdzą. Dlaczego wymagają, by ich szanować? A poza tym nauczyciele stawiają im dwóje, dają im łupnia, są zarozumiali, odgrywają się na nich za psikusy i kawały, i za uczniowską „głęboką" wiedzę.

Oni? Wystarczy posłuchać rozmów, dyskusji. Zamiast lektur obowiązkowych (to głupie!) czytają Freuda, Fromma, Nitzchego, Sartre'a... Książki krążą na lekcjach pod ławkami, o zawartych w nich myślach filozoficznych dyskutuje się potem w klubie.

Dawno przestali być grzecznymi chłoptasiami i dziewuszkami, co oceny zdobywali dla rodziców. Im nie zależy na piątkach. Nie chcą spokoju, nie marzą o pasjonujących przygodach, o dalekich wyprawach, jak ich rówieśnicy. Pogardzają tymi, co szczęście widzą w pełnym wrażeń lub ustabilizowanym życiu.

Ta pogarda jest niebezpieczna. Prowadzi do tego, że coraz bardziej zagłębiają się w swój zamknięty świat. Nie przyjmują żadnych bodźców z zewnątrz. Coraz bardziej wchłaniają zawiłe formuły filozoficzne, są coraz bardziej zagubieni i wyobcowani.

Zdarza się, że czasami słuchają o prawach moralnych rządzących naszą rzeczywistością. Słuchają, ani słowem nie przerywając, o problemach dobra i zła, o prawdzie i fałszu, o miłości i okrucieństwie, ale za moment: „Skończył pan, panie psorze, to teraz my..."

Trudno jest ich przeniknąć do końca. W stosunku do dorosłych – rodziców, nauczycieli, zachowują się grzecznie, stwarzają pozory niewiniątek. Są obecni w szkole, domu, ale są obojętni na wszystko, co się wokół nich dzieje. Kiedy już muszą słuchać długich wykładów na temat postaw czy wzorów, patrzą grzecznie w oczy, ale widać, że do nich nic nie dociera. Nie lubią takiej „mowy-trawy".

Mają swoje tragedie. „Nikt nas nie rozumie, czujemy się obco, jak ludzie z innego świata". Oczywiście, nie potrafią bowiem w żaden sposób dogadać się z rówieśnikami czy starszymi kolegami. Zresztą traktują ich jak kogoś gorszego, głupiego, infantylnego. „Rozmawiać z nimi nie ma o czym. Nawet studenci to kompletne dno. Czujemy się obco w każdym środowisku. Co mamy robić z tą obcością?"

Nieszczęśliwi, nienaturalni, przesiadują godzinami w klubie, zagłębiają się w dyskusje.

Dziewczęta i chłopcy, ich rówieśnicy, żyją w innym świecie, przeżywają małe i duże miłostki. A oni? Miłość? „Na jak długo" – pytają. Przecież światem nie rządzi uczucie. Jeżeli łączy się chłopiec z dziewczyną, to sprawa seksu".

„My chyba urodziliśmy się tacy. Kiedy sięgnę pamięcią wstecz, w dzieciństwo – mówi jeden z nich – zawsze wokół mnie byli ludzie mądrzy. Zazdrościłem im. Już wtedy wiedziałem, że muszę być taki, jak oni".

Więc jednak wzory były! A powtarzają, że nie mogą znaleźć w bliższym i dalszym otoczeniu wzorów godnych naśladowania. Ideały nie istnieją, nie istnieje w ich pojęciu cel życia. Wszystko, co na ten temat powiedziano, to truizmy.

A przecież chcą zajść dalej niż ich ojcowie i matki. Sięgają ambitniej i głębiej po wiedzę, chociaż czasami sprzysięgają się przeciw nim rzeczy martwe, ludzie z zewnątrz, a często ich własna natura.

Życie we współczesnym świecie jest zawikłane. Szczególnie dla szesnastolatków staje się pułapką. Gubią się, starają się być wolnymi, a stają się zależni od prawd filozoficznych, stają przed ślepym murem.

Ich rówieśnicy wybierają inne wartości. Pracę, pieniądze, auto, przygodę, stabilność – cele bliskie i w miarę łatwo osiągalne. Zamiast do bardzo mądrych książek spieszą częściej do dyskotek, na prywatki, spotkania. Myślą o karierach. O tym, co jeszcze trzeba zrobić w życiu. Nie obchodzi ich los tych „zadumanych", nie wyciągają do nich ręki, co najwyżej wzruszają ramionami: „zadumani frajerzy, pseudointelektualiści..."

„Książki nie są jedynym źródłem mądrości, z którego można nauczyć się życia. Nie dowiadujemy się z nich nic nowego no, prawie nic. Co z tego, że ktoś dużo czyta, jeśli nic nie robi? Sama teoria nie starczy, potrzebna jest jeszcze praktyka" – mówią. Mają otwarte perspektywy. Na życie patrzą realnie, widzą wyraźnie swoje szanse życiowe i sens swego istnienia.

Ci z „klubu" istnieją obok nich, obok wychowawców, rodziców. Czują się obco w świecie rówieśników czy dorosłych. Uciekają we własne mikroświaty i mikrofilozofie. A tam... niepokój, dreptanie w miejscu... bunt, a nawet rozpacz.

GRAŻYNA KIEDYK

Są w Afganistanie okolice, odległe górskie wsie, miejsca oddalone od głównych szlaków komunikacyjnych i równie niedostępne obozy koczowników, gdzie ktoś obcy bywa rzadkim gościem. Pojawienie się kogoś z innego kraju jest tu prawdziwym wydarzeniem.

O przybyciu gości do wsi dowiadują się chyba najszybciej dzieci. Tak jak wszystkie dzieci, wścibskie i ciekawe, oblegają natychmiast nasze samochody. Wszystko chcą zobaczyć, wszystkiego dotknąć, ciągną nas każde w swoją stronę, chętnie też, nieproszone, ustawiają się z poważnymi minami, pozując do fotografii. To poruszenie na drodze przyciąga uwagę dorosłych. Niebawem pojawiają się starsi mężczyźni, przyglądają się nam z zainteresowaniem.

Jest środek lata, południe, słońce praży niemiłosiernie, przenosimy się więc gromadnie w cień pobliskiej, jednej z wielu w każdej miejscowości czajchon – herbaciarni. Lokujemy się wygodnie na drewnianych podestach wysłanych chodnikami i dywanikami. Wokół nas zasiada „po turecku" gromadka mężczyzn, wszyscy zwróceni są w naszym kierunku. Następuje wylewne powitanie. Salom alejkum! Hub Hasti! Dżur hasti! Salomat boszi! Mondana boszi! Hajrat! – mówią jeden przez drugiego. W naszej grupie są naukowcy znakomicie władający językiem perskim. Nie mamy więc najmniejszych trudności w porozumiewaniu się. Towarzyszy temu niemałe zdziwienie, że przybysze z dalekiego kraju znają język perski i rozumieją jego afgański odpowiednik – język dari.

Dopiero po chwili, gdy przygasł nieco pierwszy entuzjazm, można spokojnie przyjrzeć się otaczającym nas ludziom. Jesteśmy w Centralnym Afganistanie, na pograniczu tzw. Hazaradżatu, nic też dziwnego, że większość mężczyzn ma twarze smagłe, kości policzkowe szerokie, oczy skośne. To Hazarowie. Jak twierdzą historycy i etnografowie, są potomkami przybyłych z hordami Dżyngis-Chana dumnych zdobywców mongolskich. Jest też paru Tadżyków, których czasem odróżnić można po rysach twarzy przypominających bardziej Europejczyków. Mają obfitsze od innych brody, jaśniejszą skórę. Jeszcze inni to będący tu przejazdem, ciemni i na pozór złowrodzy Pasztunowie, zwani też niekiedy Patanami. Może są wśród nich i Uzbecy, trudno to na pierwszy rzut oka określić.

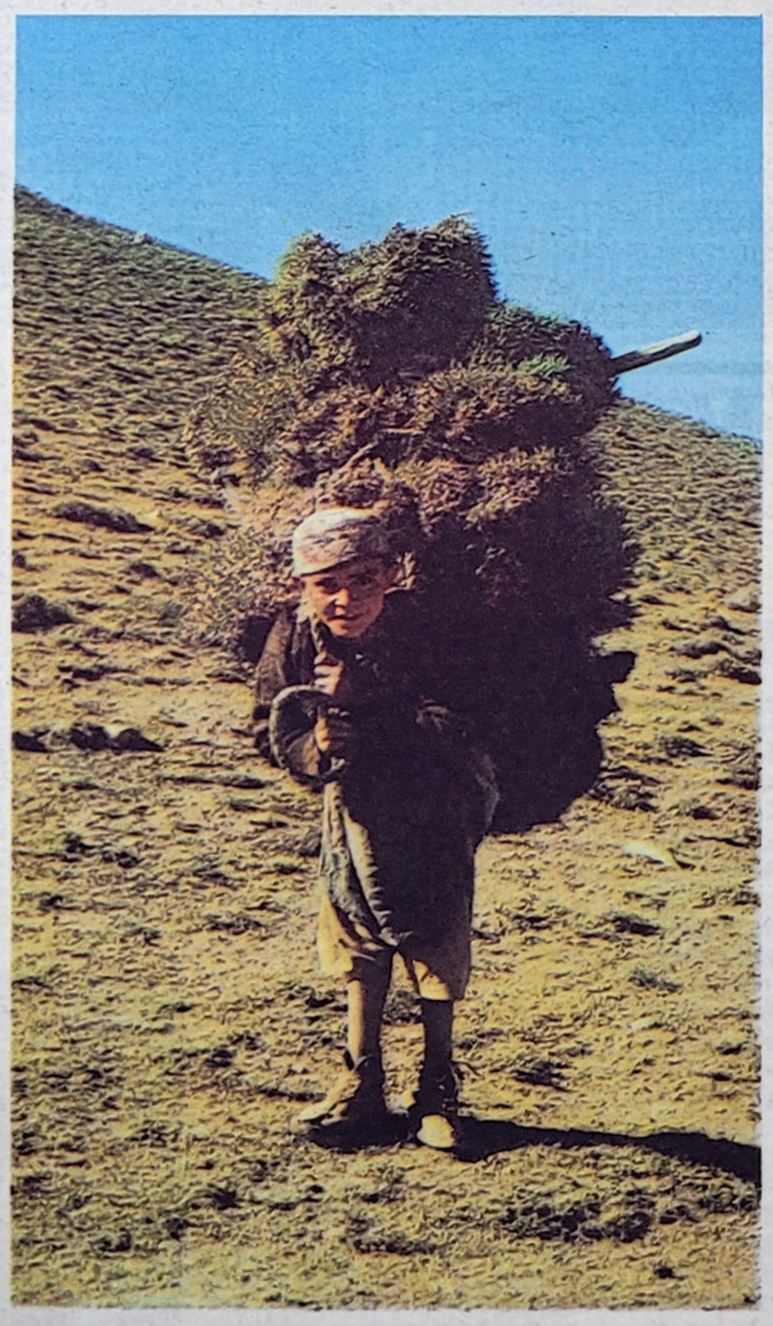

Chłopiec niosący z gór mchy na opał.

Fot. autor i Z. Jasiewicz

Spoglądam nad głowami siedzących na drogę i widoczny stąd fragment wsi. Mam przed sobą parterowy ciąg glinianych, prowizorycznych sklepików, które ciągną się po obu stronach drogi, tworząc rodzaj handlowego centrum – bazaru. Dalej ślepe, bez okien, ściany wysokich murów otaczających niewidoczne gospodarstwa, nad nimi rude góry i turkusowe niebo. Dzisiaj jest piątek – dżuma, święto religijne, odpowiednik naszej niedzieli. Sklepy są pozamykane, na ulicy panuje leniwy spokój. Życie skupia się w kilku cienistych czajchonach.

W pewnym momencie uzmysławiam sobie po raz kolejny fakt, że nie dostrzegam kobiet. Stary obyczaj, nie pozwala kobietom na równi z mężczyznami uczestniczyć w życiu społecznym. Z lekkiej zadumy wytrąca mnie czyjś głos tuż nade mną.

– Dla was herbatę czarną, czy zieloną? – stoi przede mną chłopak z wiankiem małych czajniczków w ręku. Wiem, co wybrać! Chłopak ze zrozumieniem stawia przede mną czajniczek z zieloną herbatą, najlepszą, co wiele razy sprawdziliśmy, na upał i zmęczenie. Spostrzegam, że jeden z mężczyzn oddalił się na chwilę i po paru gestach modlitwy wrócił do nas. Koło mnie toczy się już ożywiona rozmowa.

– Skąd przybywacie, czym się zajmujecie, jaki jest wasz kraj?

Wyjaśniamy im, że przyjechaliśmy z Polski, że chcemy poznać ich życie i kulturę, że interesujemy się, podobnie jak oni, jak żyją ludzie w innych krajach. Sprawia to obecnym wyraźną satysfakcję, że pokonaliśmy wiele trudności, aby przyjechać do nich. Okazuje się jednak, że większość nie wie, gdzie leży nasz kraj. Na wyjaśnienie, że w Europie, kiwają z uznaniem głowami.

– Aha, tam gdzie Anglia, Francja!

Ktoś nagle mówi:

– Wiem, wiem, u was w kraju jest najlepsza herbata na świecie, zielona, ta, którą pijecie. Czoj Polandi!

– Jak to? – pytamy zdziwieni – przecież u nas na północy nie ma w ogóle herbaty, nie ma takich wspaniałych winogron, arbuzów, pomarańcz i granatów.

Nasi rozmówcy nie bardzo chcą wierzyć naszym słowom. Przekonują nas, że „czoj Polandi" musi u nas być, bo przecież Poland to nasz kraj. Sprawa pozostaje dla nas do końca nie wyjaśniona. Pytamy o pochodzenie tej nazwy wielu ludzi, ale nikt nie potrafi nam wyjaśnić, dlaczego zielona herbata, z którą nie rozstaje się żaden mieszkaniec Azji Środkowej, ma w Afganistanie taką nazwę.

Jesteśmy we wsi o nazwie Tola-o-Barfak, co znaczy „złoty śnieżek".

– Czy to możliwe, żeby u Was był kiedykolwiek śnieg? – pytamy mając przed sobą nieruchome z gorąco powietrze.

– O tak, w zimie leży śnieg kilka tygodni i jest zupełnie biało, trudno wtedy poruszać się po okolicy, jest bardzo zimno!

Oczywiście, przecież jesteśmy w jednej z dolin Zachodniego Hindukuszu, gdzie pobliskie szczyty sięgają powyżej 4 tys. metrów nad poziom morza. Doliną płynie zasobna jeszcze o tej porze roku w wodę rzeka Surchob, biorąca swój początek z wysokogórskich lodowców.

Wielu spośród towarzyszących nam mężczyzn, mimo że wyjaśniliśmy im kim jesteśmy, uważa nas za lekarzy. Funkcjonuje tu jeszcze powszechne przekonanie, że każdy Europejczyk musi być Katta Tabibem – wielkim lekarzem znającym się na chorobach. Trudno nam ukryć, że mamy w naszej grupie prawdziwego lekarza. Krąg wokół nas zacieśnia się. Wszyscy chcą pożalić się na swe dolegliwości, uzyskać pomoc i poradę. Są i tacy, którzy ze zwykłej ciekawości chcą być osłuchani i opukani, chcą dostać jakieś pigułki.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Korespondencja własna z Afganistanu

„EWA" W TOLA-O-BARFAK

Afganistan był przez kilka miesięcy terenem badań Etnologicznej Wyprawy Azjatyckiej EWA-76, zorganizowanej przez Zespół do Badań Kultury Azji Środkowej Katedry Etnografii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Marek Bero – uczestnik wyprawy opisuje dla Was najtrudniejszy zawsze moment w pracy etnografów, chwilę nawiązania pierwszego kontaktu z miejscową ludnością.

Katta Chona – osada w dolinie Jakaulang w zach. Hindukuszu

GWIAZDOZBIÓR

Życie, z którego można zrobić film

AL PACINO IMPONUJĄCY bohater „Serpico"

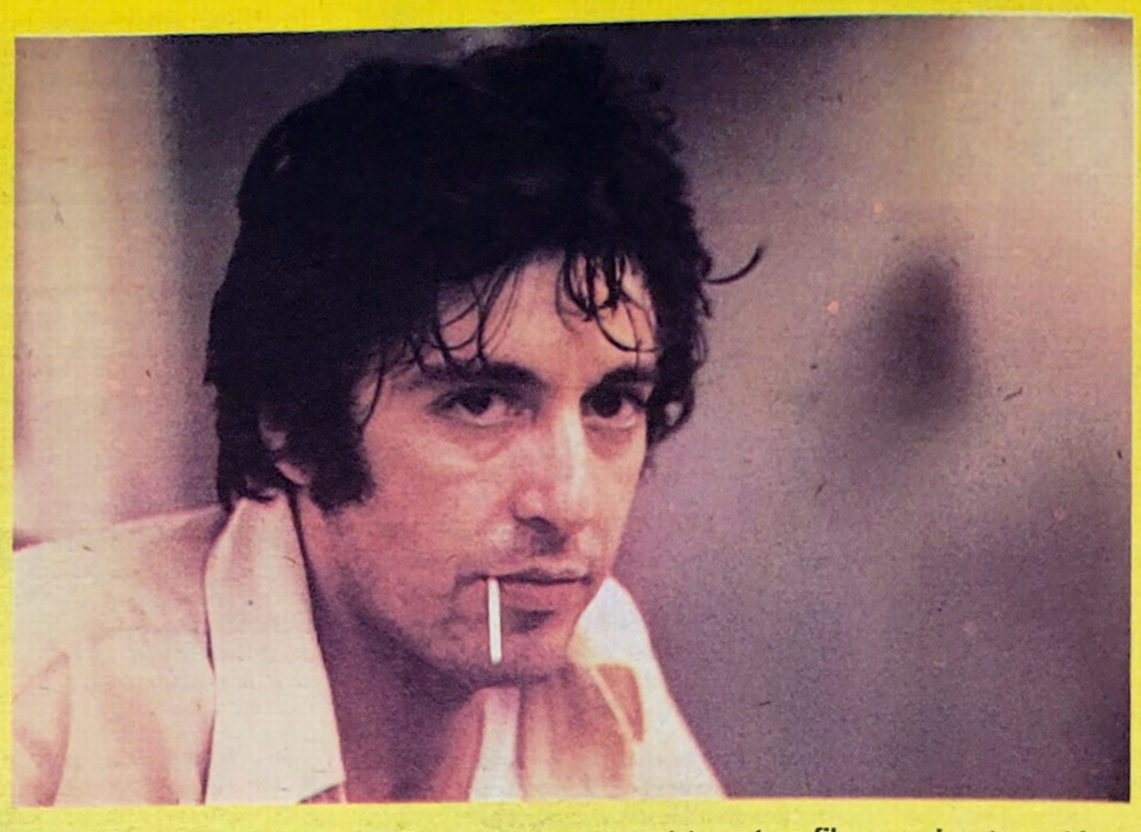

Hollywood – kraina snów o sławie. Rokrocznie przybywa tu tysiące młodych ludzi pełnych nadziei na karierę gwiazdora filmowego i rokrocznie powiększają oni rzesze rozczarowanych. Al Pacino jest wyjątkiem, wyłamał się z tej reguły. Swoją drogę aktorską rozpoczął, bez większych zresztą perspektyw, w małych awangardowych teatrach Nowego Jorku. Grał tylko w jednym filmie, który był zupełnym fiaskiem kasowym, kiedy wybrano go do roli syna w „Ojcu chrzestnym". Był to rok 1971. Trzy lata później trzydziestotrzyletni aktor urodzony w Nowym Jorku – w Harlemie, nędznej dzielnicy zamieszkanej przede wszystkim przez Murzynów, gra po raz drugi Michaela Carleone w „Ojcu chrzestnym II" – ale tym razem staje się gwiazdą.

Al Pacino otrzymał również nagrodę w Cannes za świetną kreację w „Strachu na wróble" (1973 r.). Był tam wzruszająco pogodnym i nadwrażliwym człowiekiem, który w końcu załamuje się i traci zmysły nie wytrzymując napięcia tragicznych, szokujących przeżyć. Zagrał też rolę tytułową w filmie „Serpico" – rolę, którą ceni sobie najbardziej w swoim dość szczupłym dorobku postaci filmowych.

„Serpico" to autentyczna historia nowojorskiego policjanta, który odmawiał przyjmowania łapówek i wywołał skandal odsłaniając kulisy działalności sprzedajnej policji. Film zamyka informacja o dobrowolnej dymisji Serpico i jego wyjeździe za granicę.

„Serpico" jest filmem o policjantach, z gatunku nazywanego „cop movies". Powstało wiele takich właśnie jak „Serpico" filmów – o policjantach, którzy oczyszczają własne szeregi.

Prawdziwy Franko Serpico opuścił Nowy Jork w obawie przed zemstą kolegów i teraz mieszka na stałe w Szwajcarii. Kiedy na ekrany wszedł film w reżyserii Sidneya Lumenta, odwiedził w tajemnicy Nowy Jork, aby go obejrzeć. Nie znana jest jednak jego reakcja na film, ani nie wiadomo jak ocenił Al Pacino w roli samego siebie. Znamy za to ocenę krytyki.

„Nerwowy sposób zachowania się, wrażliwość i pozycja przegrywającego czynią zeń policjanta-hippiesa, za którym widz opowiada się bez zastrzeżeń". „Sukces film zawdzięcza Al Pacino – przede wszystkim jemu – jego zachwycającej zdolności transformacji".

Al Pacino zaczynał z grupą młodych aktorów w latach 60-tych, byli wśród nich: Robert De Niro („Wiek XX", „Taksówkarz"), Jon Voigt („Nocny kowboj"), Dustin Hoffman („Mały wielki człowiek"). On sam pierwszą dużą rolę miał w filmie „Narkomani", który u nas, przeciwnie niż na Zachodzie, cieszył się powodzeniem. Od czasów „Ojca chrzestnego" ma już wielką popularność, ale sława go męczy.

„Nie lubię, kiedy mnie rozpoznają na ulicy – to przeszkadza w życiu prywatnym. Nie można pozostać sobą".

Nadal mieszka w Nowym Jorku. To miasto jest mu bliskie, wiążą się z nim prawie wszystkie jego wspomnienia. Tu jego matka zabierała go do kina, kiedy miał zaledwie trzy lata.

„Zawsze naśladowałem w domu aktorów, którzy mi się najbardziej podobali. Kiedy miałem czternaście lat, grałem w teatrze objazdowym i tam zrozumiałem, że chcę być prawdziwym aktorem. Nie mogłem sobie jednak pozwolić na studia. Kiedy miałem szesnaście lat, matka ciężko zachorowała i musiałem utrzymywać dom".

Zaczęły się poszukiwania i ciągłe zmiany pracy. Był chłopcem na posyłki, sprzątał w teatrze, ale w końcu oszczędził trochę pieniędzy, by móc brać lekcje gry aktorskiej. W wieku dwudziestu sześciu lat został przyjęty do słynnego Actors Studio. Jego matka tego nie doczekała. Umarła w wieku czterdziestu trzech lat.

„Nie przepadam za robieniem filmów, ale zdaję sobie sprawę, że to część mojego życia. Nie chcę, aby było ich zbyt wiele. To, co mi najbardziej odpowiada, to teatr. Chciałbym też pisać i reżyserować. Mam nawet temat na film – moja własna historia, historia czternastoletniego chłopca, historia walki z trudnościami życia widziana oczyma dziecka, które dorasta. Ale w tym filmie nie mógłbym już zagrać..."

Al Pacino mimo trudnego startu wcześnie osiągnął prawdziwą sławę. Zawdzięcza to z pewnością nie reklamiarstwu, ale ciężkiej pracy i rzeczywiście ogromnemu talentowi. W Polsce nie oglądaliśmy dotąd tylko jego ostatniego filmu pt. „Dog Day Afternoon".

Jak wynika z oszczędnych i nieczęstych wypowiedzi (Al Pacino bardzo nie lubi udzielać wywiadów), ceni sobie wyżej teatr od filmu. Światowa publiczność zna go przede wszystkim z filmów. Ale mieszkańcy Nowego Jorku oglądają go często na scenie. Dowodem ich uznania było przyznanie za kreację teatralną liczącej się w Stanach Zjednoczonych nagrody „Tony Awarod".

Oprac. **EWA BIELSKA**
Fot. **archiwum**

DOM MODY świata młodych
Tylko dla wybranych

Jestem w tym momencie przewrotna, bo... tytuł dzisiejszego odcinka ma uprzedzić Wasze pytania. Tym bardziej, że odpowiedź na nie musi brzmieć – tak. Ale może od początku.

A więc zachwycam się okrutnie ostatnimi czasy wszystkim co szydełkowe. W lecie. Bo tegoroczna moda letnia preferuje właśnie takie różne szydełkowo-ażurowe cudeńka. I wcale nie są to tylko tradycyjne bluzeczki i kapelusze, ale i kostiumy kąpielowe, torby, a nawet... skarpetki. Tak, właśnie skarpetki. Nie wiem, co prawda, czy w takim ażurowym cudzie na stopie wygodnie się chodzi (podejrzewam, że lekko to wszystko razem uwiera), ale wygląda bardzo ładnie, a czegóż się w imię ładności nie robi. I oryginalności też. Bo takie szydełkowe skarpetki to przecież rzecz superoryginalna. Można wręcz powiedzieć, że – tego jeszcze nie było!

W tej chwili mogę znowu wrócić do początku, czyli do pytania, czy te szydełkowe cudeńka są tylko dla wybranych? Odpowiadam – tak. Dla tych, które szydełkiem władać osobiście potrafią. Z tym, że do grona tego mogą z łatwością dołączyć i inni (a raczej – inne, chociaż znam jednego pana, co dzierga aż miło). Wystarczy posiąść tę cudowną tajemnicę.

Jeśli chodzi osobiście o mnie, to... (aż wstyd mi się przyznać!) do wybranych również nie należę. Zaczęłam się co prawda uczyć szydełkowania, ale jakoś specjalnych postępów nie czynię. Smutno mi z tego powodu, bo nie pozostaje mi nic innego jak na te śliczne rzeczy się z zazdrością pogapić, westchnąć sobie i... albo zrezygnować, albo wziąć się do nauki ze zdwojoną energią.

I namawiam do tego samego te z Was, które są w podobnej sytuacji jak i ja. Kochane, są koleżanki, są mamy, ciocie, sąsiadki... Na pewno nie odmówią wskazówek „co?" i „jak?". To jest jedyne wyjście! Bo inaczej, to do końca życia te wszystkie „cuda" będą naprawdę tylko dla wybranych. I nic nie pomogą błagalne listy, żebym przysłała szczegółowe instrukcje i wykroje. Nie posiadam ich, nie wysyłam – wychodzę z założenia, że kto dziergać lub szyć nie potrafi (a doświadczyłam tego na własnej skórze), to żaden wykrój, najbardziej nawet szczegółowy, wcale nie gwarantuje pomyślnego efektu końcowego. Cóż, tak to już jest!

RIUSZKA

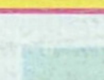

TURNIEJ WARCABOWY
O PUCHAR
„Świata Młodych" i Głównej Kwatery ZHP

prowadzi Romuald Frey

Dzisiejsze zadania, szczególnie ósme będą nieco trudniejsze. Przy rozwiązywaniu ich należy pamiętać o obowiązku bicia większej ilości kamieni i że zdejmować je można z szachownicy dopiero po zakończeniu posunięcia (ruchu).

Zadanie 7. Białe zaczynają i w czwartym posunięciu zbijają wszystkie kamienie przeciwnika. Za prawidłowe rozwiązanie 2 punkty.

Zadanie 8. Białe zaczynają i w drugim posunięciu zbijają damkę i wszystkie kamienie przeciwnika. Za prawidłowe rozwiązanie 3 punkty.

* * *

Rozwiązania należy przesyłać na adres redakcji w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru.

Wśród uczestników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, niezależnie od przyznanych punktów rozlosujemy dwie nagrody książkowe.

Zadanie 7

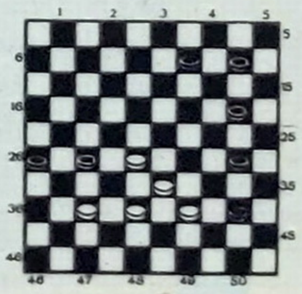

Zadanie 8

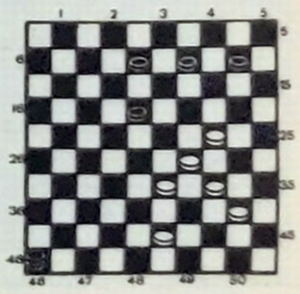

„EWA" W TOLA-O-BARFAK

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

Herbaciarnia staje się na chwilę gabinetem lekarskim. Ujawnia się przy okazji, w jak trudnych warunkach żyją ci ludzie. Jak powszechny jest tutaj reumatyzm, choroby oczu od stałego pyłu i słońca, i wiele dolegliwości przewodu pokarmowego. Widać też, że pierwszeństwo w dostępie do lekarza ma pewna grupa niczym szczególnym się nie wyróżniająca. Okazuje się, że są to Saidzi, ci w czarnych turbanach, którzy według powszechnego przekonania wywodzą się wprost od potomków Mahommeta. Korzystają dlatego z uprzywilejowanej pozycji społecznej.

Silne tu są w dalszym ciągu zależności rodowo-plemienne, które różnicują ludność i wyznaczają pozycję zajmowaną w całej społeczności. Spoglądam na naszych podekscytowanych gospodarzy. Rzeczywiście są bardzo biedni. Większość z nich ma na sobie wytarte bluzy i bufiaste szarawary, na głowach turbany, owinięte ciasno wokół skroni, z puszczonym na lewe ramię, długim frędzlem. Inni noszą kuloh – kolorowe okrągłe czapeczki, spod których widać czarną szczecinę wygolonych po muzułmańsku włosów. Niektórzy z nich mają na sobie kamizelki lub marynarki. Jeden z siedzących ma na głowie karakułową czapkę w kształcie rożka. To, jak się później okazuje, oznaka urzędnika państwowego.

Pociągam łyk herbaty z płytkiej kamionkowej miseczki. Nie dodaję cukru, żeby nie niszczyć naturalnej cierpkiej goryczy. Natomiast z przyjemnością częstuję się stojącymi przede mną w miseczce owocami suszonej morwy, rodzynkami i solonymi orzeszkami.

W pewnej chwili w tumanie kurzu zajeżdża przed herbaciarnię ciężarówka, prawdziwy „wóz cyrkowy". Afgańskim, a także pakistańskim upodobaniem jest przyozdabianie ciężarówek kolorowymi malowidłami, okuciami i świecidełkami. Z samochdu wysiadają dwaj szarzy od pyłu kierowcy. Siadają wśród nas. Mają ze sobą magnetofon kasetowy, z którego płynie rytmiczna melodia. Atmosfera ożywia się. Nasi rozmówcy zapominają o swych zmartwieniach i chorobach. Znowu wspólnie żartujemy, opowiadamy im o Polsce. Okazuje się, że przyjezdni dobrze znają nasz kraj. W Kabulu, stolicy kraju, skąd przyjeżdżają, są nawet ludzie, którzy studiowali w Polsce, znają język polski. Dowiadujemy się, że powszechnie stosowane są w Afganistanie polskie barwniki do farbowania przędzy na dywany, z polskimi nalepkami firmowymi sprzedawane są wszędzie podkowy, okucia, naboje. Afganistan przestaje być krajem dalekim i nieznanym.

Jesteśmy zadowoleni z pierwszych kontaktów z ludnością tego obszaru. Społeczność tutejsza zaakceptowała nas. Po krótkiej naradzie postanawiamy pozostać dłużej i jeśli pozwolą na to okoliczności, przeprowadzić kolejne badania etnograficzne.

MAREK BERO

Panie Prezesie, mam prośbę. Za pomocą TOMIKA nawiązałam ciekawą korespondencję, ale chciałabym korespondować z kimś, kto prowadzi regularne obserwacje nieba. Obserwacje są moim słabym punktem, ponieważ mieszkam w mieście, a wokół mojego bloku stoi dużo wieżowców, zasłaniających mi widoczność. Wykorzystuję tylko mały skrawek firmamentu. Może więc ktoś z czytelników TOMIKA mógłby mi pomóc.

EWA MILCZAREK,
ul. Kossaka 21 m 51,
93-209 Łódź

* * *

Przy okazji listu Ewy, ja również zwracam się z prośbą do tych z Was, którzy prowadzą obserwacje nieba. Podzielcie się z TOMIKIEM własnym dorobkiem, ciekawymi spostrzeżeniami.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

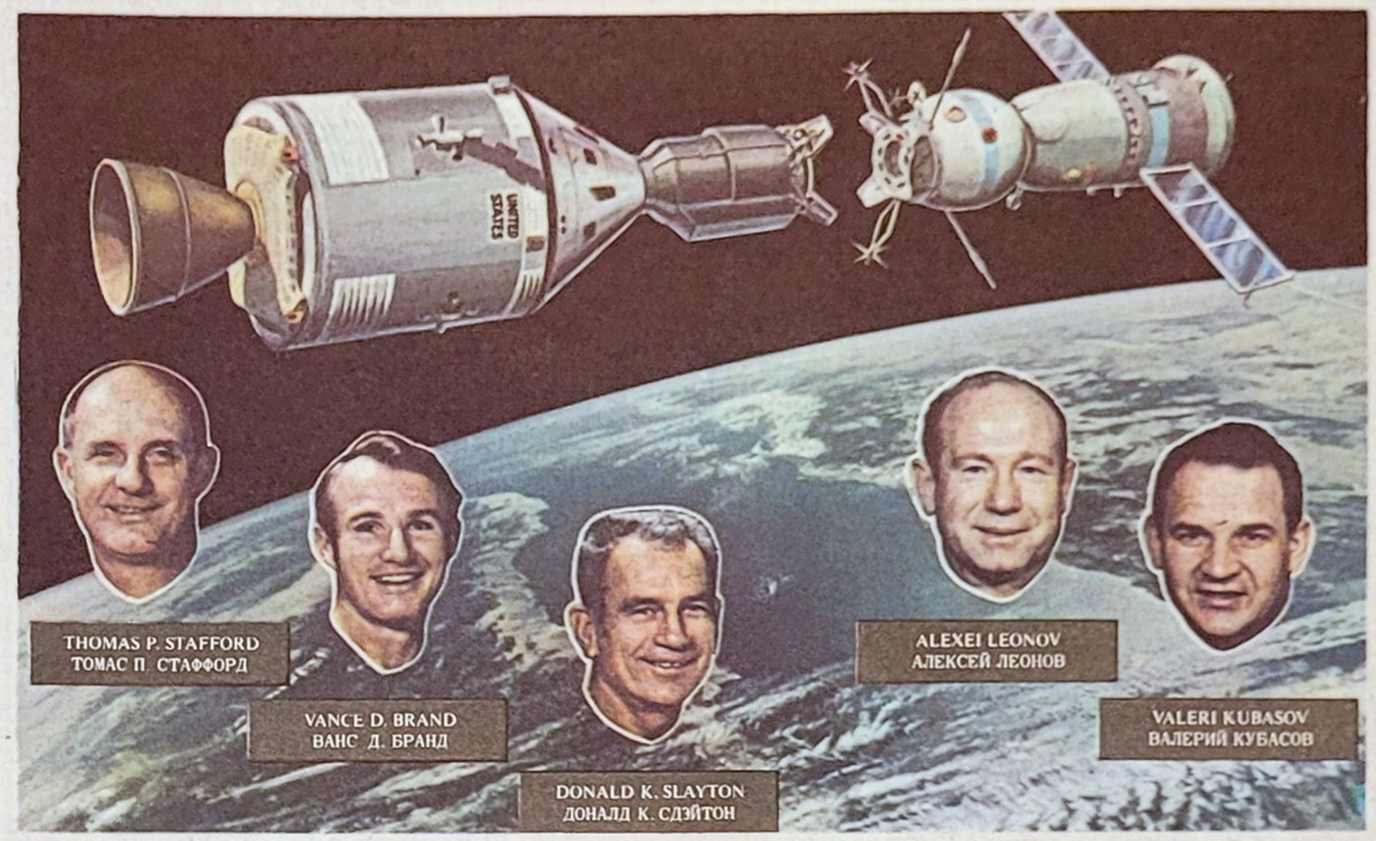

Dwa lata temu, 15 lipca 1975 roku rozpoczęła się wspólna radziecko-amerykańska operacja kosmiczna EPAS czyli Eksperymentalny Program APOLLO-SOJUZ. W dwa dni później, gdy oba statki znalazły się na wspólnej orbicie, nastąpiło ich połączenie. Od tego momentu przez dwa dni załogi prowadziły wspólne badania i doświadczenia naukowe, biologiczne i techniczne, m. in. z topieniem i spawaniem metali w warunkach nieważkości.

Operacja EPAS udała się na piątkę. Przypominamy o tym wydarzeniu, ponieważ otworzyło ono nowy etap badań i współpracy międzynarodowej w kosmosie. W przyszłości bowiem opanowanie i zagospodarowanie najbliższej Ziemi przestrzeni będzie zadaniem nas wszystkich.

Na zdjęciu widzicie obydwa statki, Apollo-Sojuz oraz bohaterów tego lotu.

Możliwość życia w sąsiedztwie Słońca

Nawiązując do artykułu kol. S. Wichlińskiego, chciałbym rozpatrzyć jakie są możliwości istnienia planet i życia na planetach, do których polecą sondy, a potem wyprawy międzygwiezdne.

Najbliższy układ Alfy Centaura: – Masa i siła obu składników (jest to bowiem gwiazda podwójna) wynoszą: gwiazda „A" – 1,08; gwiazda „B" – 0,88 w stosunku do masy Słońca. Są tam więc warunki sprzyjające. Jednakże fakt, że układ tworzy nie jedno, lecz dwa słońca (okrążające się nawzajem wokół tzw. wspólnego środka masy) stanowi poważne utrudnienie dla istnienia podobnego jak nasz systemu planetarnego. Sumując trudności i komplikacje, jakie stwarza istnienie dwóch słońc, uczeni szacują możliwość istnienia tam planet, na których mogłoby rozwijać się życie, tylko na około 10%.

Gwiazda Bernarda (Strzała). Parametry fizyko-chemiczne tej gwiazdy eliminują właściwie możliwość istnienia na jej hipotetycznych planetach wszelkiego życia. Siła światła tej gwiazdy wynosi bowiem zaledwie cztery dziesięciotysięczne siły światła słonecznego, a masa jej jest również znacznie mniejsza od masy Słońca. Na planetach tej gwiazdy – jeżeli takowe w ogóle istnieją – panują warunki analogiczne do tych, jakie cechują Neptuna i Plutona.

Dalej położone gwiazdy (układy planetarne) to epsilon Eridana i tau Ceti (Wieloryba). Pierwsza z nich oddalona jest od nas o 10,8 a druga o 12,2 lat świetlnych. Każda z tych gwiazd posiada masę około 0,80 w stosunku do masy Słońca. Prawdopodobieństwo istnienia tam życia jest więc znacznie większe, tym bardziej, że zarówno pierwsza jak i druga są gwiazdami pojedynczymi. A nawiązując do tematu, nasza Galaktyka obejmuje według najnowszych badań około dwustu miliardów gwiazd. Spośród tych, które przy pomocy ziemskich teleskopów udało się zaobserwować, około 42% przypada na gwiazdy pojedyncze, 40% na gwiazdy podwójne, 9% na potrójne i 2% na wielokrotne. Stwierdzono także, że mniej więcej jedna czwarta tych gwiazd ma masę równą lub większą od naszego Słońca. Zakłada się, że ilość planet powinna być zbliżona do ilości gwiazd. Jeśli nawet uwzględnimy fakt, że wokół słońc podwójnych lub wielokrotnych bardzo trudno jest utrzymywać się systemom planetarnym, to wokół gwiazd pojedynczych, zbliżonych warunkami do naszego Słońca mogą, a wręcz powinny z pewnością istnieć planetarne i trwałe ekosfery. A ilość takich gwiazd w Galaktyce ocenia się na 10 do 12 miliardów.

Waldemar Rubiak
ul. Kościuszki 19
95-060 Lutomiersk

JAMES JEANS – filozof nieba

Poważna, skupiona twarz i wysokie, myślące czoło – oto rzucające się w oczy szczegóły z portretu tego angielskiego uczonego. Rok 1877 był jak i poprzednie lata dla Wielkiej Brytanii przede wszystkim okresem ekspansji imperialnej. Ale nie tylko. 11 września przyszedł na świat James Hopwood Jeans. Mając 37 lat został już profesorem na uniwersytecie w Cambridge, a później w jednym z instytutów w Princeton (USA). Pierwsze wystąpienie Jeansa w dziedzinie kosmogonii stanowi praca „Problems of Cosmogony and Stellar Dynamices" z 1919 r. Jako fizyk zadebiutował wcześniej, wydając pracę „The Dynamical Theory of Gases" (1904) omawiającą kinetykę gazów. W 1914 r. otrzymał wzór na rozkład energii wysyłanej przez ciała całkowicie czarne, znany jako prawo Rayleigha-Jeansa. Reguła ta jest słuszna dla promieniowania długofalowego.

Od początku kariery Jeans szkicował przystępnie pionierskie wizje przyszłości i przeszłości kosmosu popierając je zawiłymi obliczeniami i korzystając z dostępnej mu wówczas wiedzy. Prace te uwzględniają w swych rozważaniach zarówno fizykę makrokosmosu, jak i mikrokosmosu. Z nazwiskiem Jeansa kojarzy się przede wszystkim jego śmiała hipoteza zwana cygarem planetotwórczym. Hipotezę tę wypowiedział po raz pierwszy w 1901 r., gdy miał 24 lata. Jeans przyjął w niej, iż planety naszego układu powstały dzięki siłom przypływowym wywieranym na Słońce przez biegnącą obok obcą gwiazdę. Trzeba dodać, że trzy lata wcześniej na podobny koncept wpadł W. Sedgwick – matematyk z uniwersytetu w Cambridge i cztery lata później uczeni Chamberlin i Moulton z Chicago. Rozwodząc się nad zagadnieniem skutków zbliżenia się obcej gwiazdy do Słońca stwierdził, że działania przypływowe wydarły Słońcu masę materii, z której to uformowały się później planety.

Rozpatrując zmiany fizyczne planet w czasie ich rozwoju Jeans wykazał, iż gazy wydarte naszej najbliższej gwieździe miały największą grubość w połowie długości. Jest to właśnie największe zgrubienie cygara. Powstanie księżyców uczony ten tłumaczył siłami przypływowymi Słońca, które to miały wydrzeć pewne części materii ze stygnących planet.

Jeans sięgnął także w daleką przyszłość wysuwając hipotezę na temat końca wszechświata. Nastąpi to wg niego „...gdy każda cząstka materii, zdolna do przemiany na promieniowanie, istotnie się w nie przekształci". Warto też wspomnieć, że uczony ten rozważał problem życia organicznego we wszechświecie i przyszłość Ziemi. Na koniec trzeba powiedzieć o jego książkach popularyzujących fizykę i astronomię, z których wiele doczekało się przekładu na język polski. Mam tu na myśli takie dzieła jak „Wszechświat" z 1919 r., „Horyzonty nowej nauki" (1933) czy też „Podróż w czasie i przestrzeni" (1934 r.).

Jeans zmarł 14 września 1946 r. w Dorking, otrzymując przydomek filozofa nieba. Jego hipoteza z punktu widzenia dzisiejszej wiedzy jest nie do przyjęcia.

Cezary W. Domański
ul. Kręta 1/3
50-237 Wrocław

– Owszem, proszę pana. Artur Zborowski jest... był stoperem drużyny „Huragan".

– A widzisz, widzisz! – zawołał dziadek do babci – mówiłem ci, że go skądś znam! Dopiero jak go zobaczyłem, to mi się skojarzyło!

– Pan mnie zna? – ucieszył się Marek. – Może znał pan tatusia?

– Tylko nie zemdlej z wrażenia staruszku, jak usłyszysz prawdę.

Dziadek podrapał się po łysinie.

– Obawiam się, że przeżyjesz wstrząs.

– Powoli przyzwyczajam się do wstrząsów – odpowiedział Marek

– Wydaje mi się nawet, że wiem, kto to jest Artur Zborowski.

– I nie mylisz się, stary, ani trochę... Ten pomarszczony gość, który stoi przed tobą w wieku bądź co bądź dziewięćdziesięciu jeden latek nazywa się Artur Zborowski. I proszę cię – tylko mi nie mów, że nic się nie zmieniłem! Nie znoszę takich komplementów.

– Fantastyczne spotkanie – przyznała babcia. – Graliście w jednej drużynie?

– Nie. On grał w „Błyskawicach" – odparł dziadek. – W konkurencji. Był znakomitym bramkarzem. Całą drużynę trzymał w dyscyplinie. Żeby nie on, dawno by się rozlecieli... Tylko z nami przegrywali. I też nie zawsze.

– Ale u was są... byli przerośnięci! W „Huraganie" zawsze grało kilku zeszłorocznia ków. A Kazik Sumik ma chyba z siedemnaście lat!

Dziadek spoważniał.

– Profesor Kazimierz Sumik zmarł w wieku osiemdziesięciu trzech lat. Pracował jako mikrobiolog na Antarktydzie i lekarze nie zdążyli na czas wymienić serca. Szczerze mówiąc, nie pamiętam czy był starszy ode mnie. Może i był. Chyba był o rok starszy. Mógłbyś mu to teraz darować, prawda?

– Muszę się do wielu rzeczy przyzwyczaić! To, że pana spotkałem bardzo mnie ucieszyło. Wynika z tego, że niektórzy moi znajomi jeszcze żyją. Może spotkam kolegów z klasy, z drużyny...

– Myślę, że parę osób się znajdzie. Ale niewiele. Przecież pokazywali cię w holowizji, więc ktoś, kto by ciebie sobie przypomniał, wideofonowałby do Instytutu. Poszukamy razem, zgoda?

– Oczywiście, proszę pana!

– Mów do mnie jak dawniej – Artek.

Babcia spojrzała ze zgorszeniem.

– Zachowujesz się jakbyś zdziecinniał, Markowi trudno będzie mówić do człowieka w twoim wieku po imieniu!

– Do kumpla z boiska będzie mówił „proszę pana"?

– Do mnie w każdym razie możesz mówić „babciu".

– A do której szkoły pani... babciu, chodziłaś?

– Ja mieszkałam w Toruniu. Szkoła numer pięć.

– To nie znam. Ale w Toruniu byłem. Kopernik, pierniki...

– Kopernik, pierniki i kosmodrom – dodała babcia. – Teraz właśnie z tym kojarzy się Toruń. No i oczywiście krzywa wieża...

Morze pokryte było aż po horyzont śnieżnobiałymi falami. Słońce prażyło pionowo z góry i gdyby nie metalowe rury nadbrzeża, można by rzeczywiście przypuszczać, że wyspa jest autentyczną częścią jakiegoś południowego archipelagu.

Wśród szmaragdowych, seledynowych, żółtawych, niebieskawych, czerwonawych – jednym słowem różnobarwnych – zieleni bielił się zbudowany na łagodnym zboczu dom o kilkunastu tarasach, nie kończącej się ilości schodków, kolumienek i podcieni.

Teraz dopiero Marek uświadomił sobie, że dotychczas poruszał się głównie windami lub schodkami transportowymi. U stóp zbocza znajdowały się dwa wypełnione wodą baseny. Do obu można było zjechać zjeżdżalniami, które wiły się aż do najwyższego poziomu i kończyły wprost w otworach okiennych.

Fontanny zakomponowano tak chytrze, że tworzyły parawany, parasole i korytarze mieniące się w świetle tęczowymi kaskadami.

Tu i ówdzie na pozór przypadkowo wyrastały różnobarwne kwiaty i drzewa owocowe.

Na jednej z takich grządek dwa roboty kończyły właśnie zbiór czereśni, na drugiej automat sadził krzaki dzikiej róży. Wśród hałasu i gwaru całe towarzystwo wdrapywało się na górę. Babcia, ponieważ była trochę zmęczona, wyprzedziła gości i pojechała śmiesznym pomarańczowym wagonikiem żuczkiem, drapiącym się wzwyż przy pomocy zębatej szyny.

Cdn

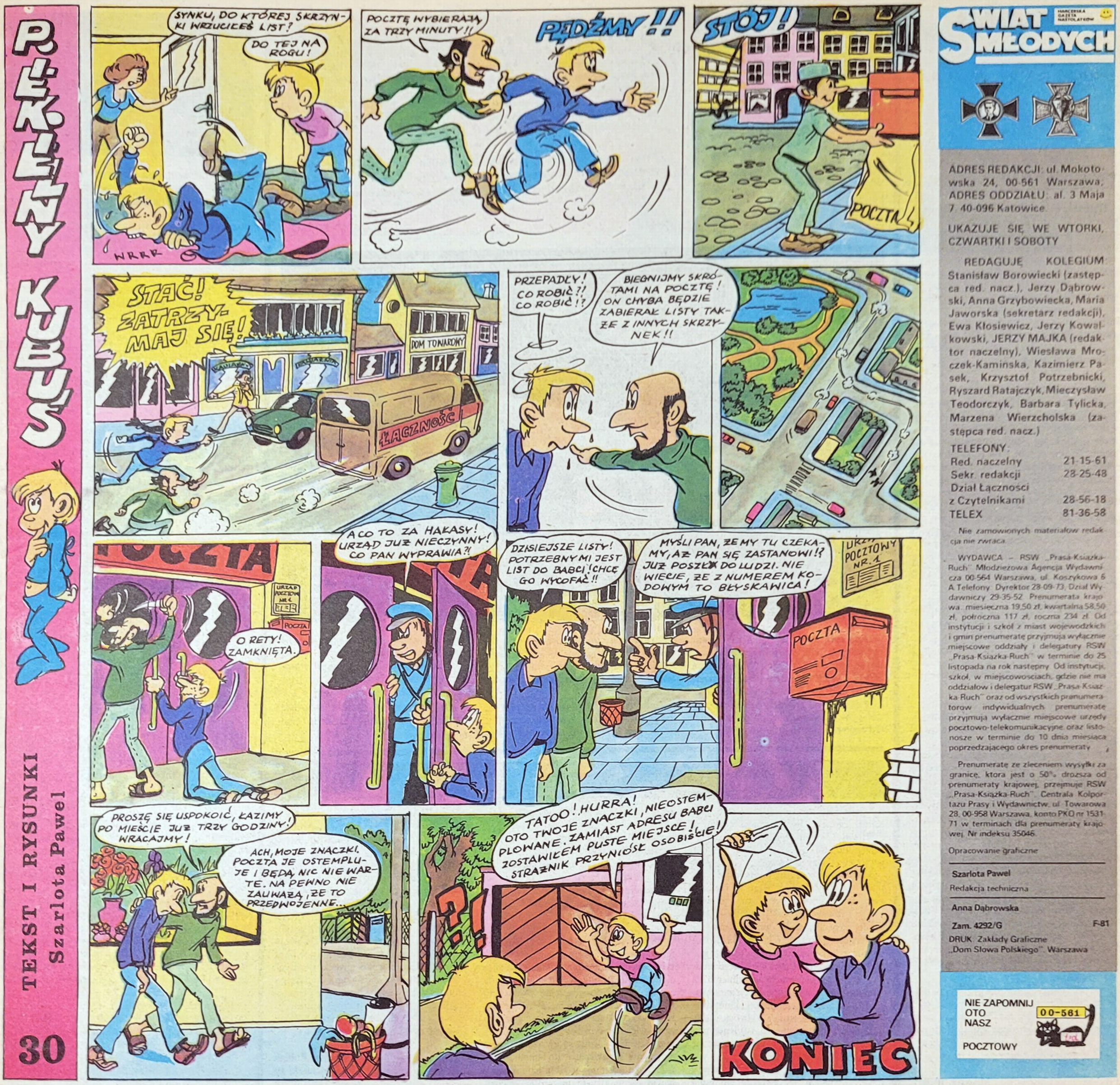

ŚWIAT MŁODYCH
WARSZAWSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJĘ KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne

Szarlota Pawel

Redakcja techniczna

Anna Dąbrowska

Zam. 4292/G F-81

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

17 – A na cóż im to?! Znów jakieś niespodzianki. Ile razy przypominam sobie te maślaki i koźlaki wirujące i podskakujące... A pamiętacie, jak urządzili ogród paszczaka? To mi się nawet podobało, tylko było tam za cicho. No dobrze... Daj mi tę bibliografię... Dostarczę po powrocie z księżyca. Och, księżyc... Romantyczna planeta... szkoda, że doktor Mueller nie może jechać ze mną... Czarujący mężczyzna! I znakomity fachowiec! Znakomity!!!

– To widać – przerwał doktor Zborowski – A wyraził chęć?

– Więc wyobraźcie sobie, że tak! Pojechałby ze mną na księżyc – widzę to w jego oczach! Ale, niestety, jedzie do swojej mamy gdzieś w okolice równika. Wraca za miesiąc i wtedy nie wiem.... nie wiem.... być może...

Ciotka wywróciła oczy i spojrzała w sufit z charakterystyczną dla siebie ironiczną zalotnością.

– Powiadam ci, Al – od śmierci Sławka jestem jak rozsypana. Nie powinniśmy zbyt długo przebywać w samotności, bo wtedy dziwaczejemy. Zresztą ja także w tej sprawie...

Sławek, mąż cioci Flory, zginął w przestrzeni kosmicznej podczas jednej z wypraw na Saturna. Awaria aparatury. Szczerze mówiąc, to ciocia nie była bliską krewną państwa Zborowskich, ale jej przyjaźń z dawien dawna towarzyszyła ich domowi. Znali ciotkę jeszcze ze szkoły – młodziutką, chodzącą pod rękę z kosmonautą dziewczynę. Przyjaźnili się od tylu lat, że nie zauważyli nawet, kiedy Flora stała się ciotką, nie policzyli, że to już dziesięć lat minęło od śmierci Sławka...

Zrobiło się im trochę przykro teraz, gdy ona sama tak otwarcie jak nigdy zaczęła mówić o swojej samotności.

– Bo ja, wiecie, mam określone plany związane z tą wizytą na wyspie... Chciałabym poznać tego chłopca, Marka... Czy wy, to znaczy Instytut, zdecydowaliście, co z nim będzie dalej?

Doktor Zborowski przyjrzał się ciotce.

MACIEJ WOJTYSZKO

SYNTEZA

– Nie. Na razie posłałem go na wakacje. Jak wróci, to się zastanowimy.

– A czy ja nie mogłabym... Czy nie pozwolilibyście, żebym ja się nim opiekowała?

Zborowski nie bardzo wiedział, jak się odezwać. Wreszcie przemógł kluskę, która tkwiła w gardle i nie chciała ruszyć w żadną stronę...

– Nie wiem. Nie mogę decydować. Myśleliśmy, że może on sam... To już duży chłopiec... Trzeba by mieć jakieś podstawy prawne.

– Są podstawy prawne! – triumfalnie oświadczyła ciotka – Szukałam w archiwach. Prawdopodobnie Sławek był prawnuczkiem brata matki tego chłopca.

– Jak do tego doszłaś? – ze zdumieniem spytał doktor.

– To bardzo proste. – wyjaśniła Flora – Jego matka nazywała się tak samo jak ja i Sławek.

Państwo Zborowscy spojrzeli sobie w oczy.

Ciotka Flora od czasów zamążpójścia nazywała się Kowalska.

WYSPA I GROTA

– Witajcie, witajcie, kochani!

– Elu, ależ ty urosłaś!

– Piotrusiu, czego nas nie przedstawiasz? Obowiązek mężczyzny...

– Przepraszam, dziadku, ale witam się z babcią. To jest Marek Torlecki.

– Słyszeliśmy, Marku, o tobie same miłe rzeczy. Mamy nadzieję, że...

Dziadek nagle zamilkł i zaczął przyglądać się chłopcu tak dokładnie, że aż ten poczuł się nieswojo...

– Słuchaj, stary – powiedział naraz zmienionym głosem – znałeś Artura Zborowskiego?

Dokończenie na str. 7